№ 50. Warszawa, dnia 3 (15) Grudnia 1877 roku.

# TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

## Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:
W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop. 50. Numer pojedynczy kop. 15.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni Leitgebera. Przedpłata dla GALICYI z przesyłką pocztową kwart. zlr. 4. W KRAKOWIE zlr. 3. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Elektoralnej Nr 779 (nowy 41).



## UWAGI KOBIETY

### nad dziełem D-ra Edwarda Reicha

### Studya nad kobietą.

(Dalszy ciąg).

Następnie D-r R. pragnąc udowodnić jak zgubne są wpływy emancypacyi, jak na złe używają swej swobody kobiety, i jak nie wesołym kolejom ulegają te kraje, które ustępując pod tym ogólnym a tak niewłaściwym naciskiem, rozszerzyły już nieco zakres praw kobiecych, odwołuje się do statystyki kryminalnej.

Statystyka to jedyna powaga przed którą uchylają głowy uczeni, nie można więc działać skuteczniej jak za jej przymierzem. Zastanowiwszy się jednak nad dowodami zacytowanemi przez autora, nie pozostaje jak dziwić się po co je przytacza, kiedy tak słabe znajduje w nich poparcie. Fakta zwykły mówić same za siebie, najlepiej więc będzie, gdy je sam każdy osądzi.

Urywek ze stron. 83. „W Europie, Anglia, Bawarya i Hanower są krajami, w których liczba przestępczyń dosięga przerażającej wysokości. W Anglii objaśnia się to prostą niemoralnością, wzbudzoną przez nędzę fabryczną. W Bawaryi objaśnienie tego faktu oprzećby można na ciemnocie, pijaństwie i gnuśności różnych klas społeczeństwa, jak też na zgubnym wpływie materyalizmu tamecznych księży. Ale Hanower jedna z najlepszych prowincyi Niemiec, a może najbardziej z nich ucywilizowana, nie ma właściwego proletaryatu ani nędzy, owszem pozostaje w zupełnym dobrobycie, okazuje daleko mniej pijaństwa i t. p. daleko więcej moralności, wykształcenia osobistego i charakteru; kobiety w Hanowerze są daleko mniej niż gdzie indziej zmuszone do myślenia o emancypacyi; a jednak liczba przestępczyń jest tam prawie tak wielka jak w Anglii i Bawaryi. Rozważając dalej znajdziemy, że w Belgii i Francyi gdzie kobieta daleko ściślej niż gdzieindziej z życiem publicznem jest związaną, liczba przestępczyń jeszcze się dosyć wielką okazuje i znacznie jest większą niż w Niemczech, (z wyjątkiem Bawaryi i Hanoweru) Hiszpanii i Rossyi.“ Stronica 87. „Według obliczeń Neisona przytoczonych przez Fauchera, płeć piękna jest w Anglii więcej skłonną do przestępstw, niż we Francyi, pomimo daleko mniej wybitnego stanowiska, jakie zajmuje w społeczeństwie kobieta Angielska w porównaniu z Francuzką.“

Więc Hanower z jednej strony, ów kraj błogi mlekiem i miodem płynący, w którym kobiety mniej niż gdzie indziej myślą o emancypacyi, a jednak tak gorzkie wydający owoce. Z drugiej znów strony Francya barbarzyńska kraina, w której kobiety nieco swobodniejszy żywot prowadzą, nie wykazują-ca wszakże tak bardzo opłakanego stanu rzeczy jakby się tego spodziewać należało, a w każdym razie pomyślniejszy jak w Hanowerze, czy mają to być dane statystyczne świadczące za wywodami autora? Po cóż je przytacza? My i bez nich trwamy stanowczo w tem przekonaniu głębokiem, że emancypacya kobiet, chociaż może wywołać jakie chwilowe, niewiele znaczące zboczenia, wypływające z samej natury ludzkiej tu i owdzie namiętnej i burzliwej, nie może nigdy spowodować zgubnych i szkodliwych następstw, chyba że postęp i cywilizacya żywią w swem łonie zgubne i szkodliwe pierwiastki.

Przypuściwszy nawet, że statystyka kryminalna okazałaby się przychylną dowodzeniom D-ra R. to i w takim razie niekonsekwentnem byłoby wyprowadzać z niej jakieś absolutne twierdzenia, bo i jakiż pewnik mielibyśmy na to, że to są wpływy emancypacyi a nie czysto miejscowych warunków?

Ruch emancypacyjny jest zanadto świeżej daty, aby już mógł wywrzeć wpływ przeważny, na ustrój wszystkich społecznych stosunków, dotychczas nie ogarnął on nas, lecz same wyższe warstwy towarzyskie, a te jak wiadomo, mniejszy niż niższe dostarczają dla zbrodni kontyngens.

Pomimo że jak widzimy, statystyki kryminalne nie wykazały skutecznie wpływów szkodliwych emancypacyi na moralność ogólną, bezstronność każe mi wyznać, że wiary żadnej nie powinno się do tego przykładać, gdyż jak trafnie zastrzega pan Aleksander Głowacki w Kronice Miesięcznej zeszytu II Ateneum z 1877 r. „W takiej kwestyi jak statystyka kryminalna trzeba zwrócić uwagę nietylko na różnicę liczb, ale i na różnicę prawodawstw, dzięki którym, ten sam czyn, który w jednym kraju stanowi pokaźną rubrykę przestępstw, w innym nie nazywa nawet występkiem.“

Co zatem skłoniło autora do tak obszernego rozbierania przedmiotu, który posłużyć nie może ku niczemu, bo wyczerpująco opracowanym być nie mógł, zrozumieć doprawdy niepodobna.

Osobliwością *sui generis* jest cała część dzieła nosząca tytuł: Kobieta w Historyi Naturalnej, której treść wypełniają badania anatomiczno-fizyologiczne i ich znaczenie erotyczno-etyczne, a w której autor usiłuje widocznie pozować na Darwina. Pomiędzy innemi zwyczajem tego ostatniego jest, popierać wszystkie swoje dowodzenia licznemi przykładami, ztąd często spotkać się można w dziełach jego ze wzmianką o psach faworytach lub domowych kotach, których charakterystyka bywa nad wyraz interesującą. Otóż i autor Studyów uważał za właściwe opowiedzieć czytelnikom swoim anegdotkę o jakimś niemieckim nakładzcy, który, a wypadek to wielkiego znaczenia w dziejach emancypacyi kobiet... z wybraną przez siebie ofiarą. Należy bowiem wiedzieć, że według wrażenia D-ra R. narzeczona jest *wybraną ofiarą*, *awis aux lecteurs*, *pardon*, *aux lectrices* chociaż była nader ujmującej powierzchowności i pięknych zalet kobietą, a co najważniejsza, pomimo że

się bardzo podobała swemu nakładzcy, nie poważył się on zawrzeć z nią ślubów małżeńskich, dla tej racyi, że miała nos nader niekształtny. Drobna ta na pozór okoliczność ubodła go tem dotkliwiej że nos pierwszej nieboszczki jego żony, był istnym klejnocikiem sztuki rzeźbiarskiej i pochlebiał ze wszech miar wysokim estetycznym jego wymogom.

Ależ dajmy na to, że i ja ni ztąd ni zowąd ulegam naraz pokusie pozowania, *comme de raison*, przez żart nie na seryo na D-ra R. to i cóż nadto byłoby dla mnie łatwiejszego jak wyliczyć parę przykładów takich małżeństw, które zgodny prowadzą żywot, pomimo nieforemnych nosów małżonek; parę innych, w których fraszka nosy, całe oblicze żon jest szpetnem jak grzech śmiertelny i nieosłodzone nawet tym wdziękiem, co to czasem pociąga mimo brzydoty, a przecież kochają je i szanują mężowie; lub co jeszcze ważniejsza, potrafiłabym rozpowiedzieć pod sekretem historyę kilku żon pięknych co się zowie i dobrych zarazem, a więc takich, które odpowiadają wszelkim warunkom estetyki, zatem i warunkom szczęścia domowego według najnowszej teoryi Reich et Com., zaniedbywanych jednak literalnie przez zacnych swych dozgonnych towarzyszy. Z czego wszystkiego razem wziąwszy, pozwoliłam sobie wyprowadzić wniosek, że nie tyle charakter nosa czy też ucha małżonki, ile charakter małżonka, daje rękojmię prawdziwego szczęścia w pożyciu domowem.

Całe to w ogóle w tym dziale zawarte szerokie rozwodzenie się autora, nad stosunkami nosów, uszów i podbródków, opowiadania przesadne a naciągane o ich przeważnych wpływach na życie i pożycie, klasyfikowanie kobiet na rzędy i podrzędy, według kształtu rąk i nóg, i t. p. spostrzeżenia biologiczne... nie wiem jak będą ocenione przez ludzi kompetentnych ze stanowiska nauk ścisłych, co do mnie, wyznać muszę szczerze, chociaż czuję, że mię ta zbyteczna otwartość o śmieszność przyprawić może iż zrobiły mi efekt literatury sennikowej.

Z porządku przystępuje autor do szczegółowego rozbioru kobiecych zdolności i upodobań, a opierając się na ich gustach i skłonnościach określa stanowczo, co w dalszym pochodzie ludzkości ma być dozwolonem a co wzbronionem kobiecie. Nie ulega wątpliwości, że nie może tu być mowy o zdolnościach z praktyki życia wyjętych, bo i któż kiedy bada u dziewcząt zdolności, kiedy ku niczemu posłużyć im one nie mogą, ale o teoretycznych, to jest o takich, które wyprowadzić się dały z obserwacyi poczynionych na okazach martwych w teatrach anatomicznych. Autor nie przeczy, że w miarę podnoszenia się ogólnej kultury, wyradza się konieczna potrzeba rozszerzenia i dla kobiet zakresu ukształcenia, lecz ponieważ forma czaszek kobiecych przekonała go o tem, że wyobraźnia góruje w kobietach, ma więc im być łaskawie udzielone pozwolenie nabywania takich wiadomości, które i nadal oddziaływać będą na ich imaginacyę i pobudzać ich czułostkowość, i tak aż nazbyt często chorobliwie ckliwą... natomiast zabronionem będzie bezwarunkowo kobietom, oddawanie się naukom ścisłym.

Jacy ci wielcy uczeni bywają czasem nie... nie... niech będzie niepraktyczni.

Czyliż zapowiedzieć kobietom, że wolno im uczyć się wszystkiego oprócz nauk ścisłych, nie jest to samo co oznajmić, że nie wolno im uczyć się niczego takiego, czego i dotąd uczyć się nie było wolno?

Bo i jakiegoż to nabytku wiadomości prócz nauk ścisłych, wzbroniono dotychczas kobietom? Wszak beletrystyka, poezya sielankowa, muzyka salonowa i paplanina obcemi językami, a więc takie przedmioty, które nie wymagają systematycznych wykładów szkolnych, nie były nigdy i przedtem, gdyż co prawda nie mogły być zaprzeczane kobiecie; wcale zatem nie postąpił wspaniałomyślnie względem nas D-r R. sanckyonując to, co od wieków usankcyonowanem już było.

Wielki nacisk jaki kładzie autor na tę okoliczność, że kobiety zaszczycają zwykle taką sympatyą poetów a nie lubują się bynajmniej w uczonych, ma być nieomylną wskazówką, ostrzegającą o ich naturalnym pociągu ku poezyi. Ja myślę, że fakt ten dowodzi tylko wielkiej loiczności ze strony kobiet, albowiem nie ma nic nad to konsekwentniejszego, że przekładają one to co je zrozumieć nauczono, nad to czego nie pojmują zgoła; wątpić jednak należy, na wypadek, jeśliby system edukacyjny układu D-ra R. utrzymać si zdołał, aby i w przyszłości kiedykolwiek kobiety z ludźmi głębokiej nauki sympatyzować mogły.

Filozofką w ścisłem znaczeniu tego słowa, nie była nigdy żadna kobieta i nie będzie, wyrokuje autor w uniesieniu proroczem.

Zaręczać za przyszłość równie stanowczo jak D-r R. poważyćbym się nie ośmieliła, ale wraz z nim sądzić się ośmielam, że pewien ów realny kierunek, który wbrew wybujałej wyobraźni przyznaje on i wielu innych pisarzy kobietom, a co jakoś jedno z drugiem dość trudno nawet pogodzić się daje, ustrzeże je od zapuszczania się na manowce tej subtelnej nauki, będącej bez obawy rzec można, czczem usiłowaniem przelewania z próżni w próżnię. Zastrzegam sobie jednak, aby czytelniczki zechciały zwrócić uwagę na to, że wyrażając się w podobny sposób, nie mam bynajmniej na myśli *philosophoi*, w dosłownem a rozległem znaczeniu tego wyrazu, i że pragnę jedynie przez to określić mistykę niemiecką; według mego bowiem zdania, z czemś, co się godzi nazwać zarodem filozofii, spotkać się można dość często u kobiet, które w pismach swoich rzucają czasem głęboko filozoficzne myśli.

A i lekceważyć tak bardzo zdolność ogarnięcia tego, co autor zowie szkolarstwem filozoficznem, nie należy też jak mniemam. Dobre zrozumienie rzeczy jakiejś, czyliż nie jest już niejako jej przyswojeniem? A znów, żeby módz przyswoić sobie filozofią, czyliż na to nie potrzeba, jeśli się nie mylę, posiadać filozoficzny umysł?

Z jednym z tego rodzaju filozoficznym umysłem kobiecym, zapoznaje nas właśnie Fr. Kr. Szlosser w swoich Dziejach Powszechnych, a wyjęte z dzieła tego, jego własne słów kilka; powtarzam tu dosłownie. ,,Filozofia Cyrenejska, z której się wyrodziła później epikurejska, była założona przez Arystypa z Cyreny. Córka jego Arete, założyła tamże szkołę, gdzie publicznie wykładała też filozofią.“

---

Przy dozorowaniu chorych ogólnie, i w wydziale specyalnym swoich chorób, kobiety ogromne mogą oddawać usługi, powiada D-r R. dla czegóż więc nie miałoby im być wolno przysłuchiwać się odczytom medycznym. ,,Nic bardziej niewinnego przecież nad przysłuchiwanie się i przyglądanie.“ Ale o udzielaniu kobietom stopni lekarskich, ,,pod żadnym pozorem“ mowy być nie może.

Taki jest w tej kwestyi pogląd racyonalnego niemieckiego doktora, to też nic dziwnego, że rekryminuje przeciwko niemu sam tłomacz, który słusznie dowodzi, że albo należy całkiem odmówić kobietom prawa słuchania medycyny, albo raz je do tegóż prawa upoważniwszy, niesprawiedliwością najwyższą jest przeczyć im stopni, skoro na nie zasłużą. Bardzo pięknie. To też byłabym niepomiernie zbudowana tą bezstronnością tłomacza, gdyby nie przypisek jego ze stron. 282, z którego się dowiadujemy, że mężczyzna w obec kwestyi kobiecej bezstronnym tylko do pewnego kresu być może. Charakterystyczny ten przypisek, zdradza, chyba przeciwnika, co uniesiony oburzeniem, zresztą bardzo sprawiedliwem na autora, za to, że wymieniając cały szereg nauk niewłaściwych kobietom, zamilczał o nauce prawa, stara się wypełnić tę lukę, wołając: ,,A kobiety adwokatami? Boć i to snuje się niekiedy po główkach marzycielskich, łudzonych myślą o obronie uciśnionych, albo częściej może po główkach emancypowanych i rachunkowych, którym się uśmiechają dochody adwokackie i t. d.“

No i dojdziemyż my kiedy do ładu z tymi panami?

---

Po co nauki ścisłe kobietom, powiada D-r R. kiedy śmiesznością jest przypuszczać, aby poważył się ktokolwiek uczynić kobietę profesorem? Profesorstwo i kapłaństwo, są to dwie godności tak ściśle zespolone z wyobrażeniem ojcowstwa, że zarówno od wykładu nauk ścisłych jak i od nadzoru moralności, kobiety bezwarunkowo usuniętemi być powinny.

Więc profesorem nie ma być kobieta dla tego, że to godność wyłącznie przynależna ojcostwu, którą skalałoby macierzyństwo... Czemże jest ogólnie przyjęty system apoteozowania macierzyństwa, w obec podobnego bluźnierstwa? Czy tylko zręcznie obmyślaną formułką, sensem moralnym, której ma być przyśpieszenie wzrostu ludności, bodaj czy i tak już nie zanadto licznej, kiedy taki ogromny jej procent żyje o głodzie i chłodzie.

Nie przeczę, że przy takiem lekceważeniu stanowiska kobiety, jakie ma miejsce w obecnych warunkach stosunków społecznych, profesor w spódnicy nie zaimponowałby uniwersyteckiej młodzieży, ale mamy wszelkie prawo oczekiwać tego, że wkrótce wszędzie zakładać się zaczną kolegia naukowe dla kobiet, a tam wszak z pewnością kobieta profesor będzie zupełnie na swojem miejscu. Zupełnie na swojem miejscu była w 1750 roku, Marya Agnezi, która objąwszy katedrę akademii bolońskiej po swym ojcu, wykładała tamże z pożytkiem dla słuchaczy nauki matematyczne, (Kłosy z r. 1876 N-r 562) ale działo się to w wieku XVIII. Ludzkość postępuje.

Czy mogłaby lub nie być kapłanem kobieta, pytanie to nie zastanawiało mię jakoś nigdy, sądzę tylko, że kościół, nadając kobiecie na równi z mężczyzną prawo udzielania chrztu w razach nagłych, nie tak ją daleko postawił od kapłaństwa niż się to na pozór wydaje. Ostatniemi czasy, jeśli kto, to właśnie Kościół utwierdzeniem dogmatu niepokalanego poczęcia Najświętszej Maryi Panny, przeprowadził równouprawnienie kobiety w najwyższem tego słowa znaczeniu.

A Djakonise przewodniczące w początkowych wiekach chrześciaństwa zgromadzeniu wiernych niewiast po katakumbach, z upoważnieniem oświecenia takowych w rzeczach wiary, i dla względów przyzwoitości chrzcząc je wyłącznie same, czemże były jeśli nie pierwszym stopniem kapłańskiego święcenia? o czem zresztą nietylko ich nazwa dostatecznie świadczy, ale i *concilium* Nicejskie, które je zalicza w poczet kleru.

A kapłanki ludów starożytnych, sprawujące ofiarę?

Ale historyczne dane nie zatrzymują D-r R. tam, gdzie mu idzie o postawienie na swojem. I nie wzdraga się on wbrew historykom, co jak świat światem kapłanki pogańskie mieli nie za co innego, jak za to czem były, zalecić aby od czasu ukazania się jego książki, uważano je za rodzaj zakonnic. Czy i jak dalece historycy okażą się powolnymi do nałamywania przekonań swoich i pewników historycznych, podług widzimisię niemieckich fizyologów, da się to obaczyć.

Nad wyraz oryginalnie wygląda, wysłowienie się to autora, że kobieta od *nadzoru moralności* bezwarunkowo usuniętą być powinna. Z przeglądu bowiem moralności męzkiej, podanego na stron. 74, doszliśmy do przekonania, że jakby nie były smutnemi objawy niemoralności kobiecej, w zestawieniu z niemoralnością męzką, wyglądają one jeszcze bardzo świetnie; a nawet stan rzeczy w tym kierunku, jak mniema autor, dałby się polepszyć o wiele, z usunięciem choć w części nędzy szerzącej się pomiędzy kobietami warstw zarobkujących, która przeważnie popycha je na drogę upadku.

Wygłoszenie więc zdania, że piecza nad moralnością należy się wyłącznie tej płci, którą sam autor uważa za główny czynnik demoralizacyjny, zakrawa na paradoks.

(*d. n*).

# Obrazki Warszawskie

**ułożone w trzech tomach**

PRZEZ

## Jana Kantego Gregorowicza

ofiarowane

Autorce Kroniki zagranicznej w Bibliotece Warszawskiej

(Dalszy ciąg).

**Rozdział VI.**

Kiedy się Franek na drugi dzień przebudził, uczuł się dziwnie pokrzepionym, jakimś raźniejszym i silniejszym czego już od dwóch miesięcy przeszło nie doświadczał. Leżał na sienniku przy piecu: okryty ciepłą grubą kołdrą: blady blask jutrzenki przedzierał cię przez okno głęboko w ścianę puszczone, przy którem na stole i nad nim, na szafie i na gwoździkach w przeróżnych miejscach powbijanych, znajdowało się mnóstwo klatek i klateczek, już to całych już popsutych, pręcików, szczebli, gniazd, woreczków, węzełków i innych rupieci nieznanego użytku. Izba w której nocował była niewielką i sklepioną jak piwnica: pod ścianą stało łóżko na czarno malowane a nad niem wisiało kilkanaście obrazków ze Świętymi, palmy, wianki i krzyż z ukrzyżowanym Chrystusem. Obok łóżka stał kufer, na nim lichtarz ze świecą i zapałki: dalej komoda politurowana z zegarem i różnej wielkości szklankami i filiżankami, po drugiej stronie mieścił się stary parawan zasłaniający drugie łóżko i tworzący przez to jakby oddzielną sypialnię, szafa, drugi kufer i kilka krzesełek dość podniszczonych. Z poza drzwi wchodowych dawał się słyszeć szczebiot różnego ptactwa, gwizdanie, piszczenie i gruchanie gołębi i synogarlic. Franek przyjrzawszy się przypomniał sobie wszystkie wypadki dnia wczorajszego, i jak pokrzepiony posiłkiem usnął i następnie rozmarzony wsiadł w dorożkę i razem z panem Prosperem pojechał do jego mieszkania. Przypomniał sobie jednocześnie, że Zosia pozostała u pani Adamowej.

Kiedy ubrany wyszedł z izdebki, zastał pana Prospera w sklepiku od frontu zajętego przy klatkach, szepczącego pacierz i rozprawiającego ze skrzydlatą rzeszą jakby z ludźmi. Czasem przemawiał pieszczotliwym głosem, czasem karcił i fukał, łajał i napominał, ale z pobłażaniem ojca pragnącego obudzić dla słów swych poszanowanie.

— Wstałeś już młodziku, odezwał się spostrzegłszy wchodzącego. No, Bogu dzięki kiedy się trzymasz na nogach jako tako. Wczoraj napędziłeś nam strachu niemałego, ale dziś jakiś jesteś raźniejszy.

— Tak, proszę pana, już dam sobie radę, ale wczoraj byłem pewny iż uświrknę pomiędzy szychtami. Żeby nie państwo kochani coście biedaka poratowali...

— Co tam było moje dziecko to zapomnij, a teraz wyjmij z piecyka kawę, zdejm z murka chleb i bułki i jedz z Bogiem bo ja tu z moim inwentarzem mam tyle kłopotu, że na chwilę nie mogę się od niego oderwać. Wszystko to skrzeczy, piszczy, wyciąga szyje i dziobki, domaga się świeżej wody i ziarna... ot! patrz ten kos to styryjski nie dawno go nabyłem, mniejszy od naszego i ma odmiany w upierzeniu ale jaki hardy to jak Niemiec kiedy się na naszym chlebie spanoszy. Ty, ty mały łotrze jak się nie poprawisz, mówił dalej grożąc ptakowi palcem, który napyrzony srożył się z dziobkiem otwartym gotowym w każdej chwili do uderzenia, to cię wpakuję na rekolekcye w najciemniejszy kącik. Widzisz moje dziecko te dwa kanarki, to mego chowu, och! żebyś wiedział jakie to cnotliwe gniazdo. Całujemy się z sobą jak ludzie, a jak przechodzę koło klatki to mnie zawsze zaczepią. Byle jakiego ptaka nie przyjmę do swego mieszkania, i zawsze wiem z jakich rąk wychodzi. Polne ptactwo, szczygły, gile, czyże, ziemby, sikory, to nigdy nie mieszam z domowem: wszystko to wielkie prostactwo. czubi się, skubie, bije jak chłopi w karczmie. Zakrywam je też od innych klatek zielonym kitajem, bo mogłyby zarazić moich wychowańców swojem gburostwem... Ale ja tu gadu, gadu, a ty głodny... nie dziw się memu marudztwu. Cała ta skrzydlata gromada, to mój świat: w nim żyję i z nim mi najlepiej, lepiej jak z ludźmi. Kiedy paplę z moim drobiazgiem zapominam o wszystkiem.... nawet o mojem opuszczeniu... o mojej samotności.....

— A panna Zofia, wtrącił nieśmiało Franek.

— Biedne dziecko, odezwał się z westchnieniem pan Prosper. Jejby trzeba więcej jak mnie pociechy... oj ludzie, ludzie! kiedyż zaczniecie żyć po Bożemu.

Franek pragnął coś więcej dowiedzieć się o Zosi, ale nie śmiał wypytywać. Krótka wzmianka o niej z takiem politowaniem zrobiona, zaciekawiła go i rozdrażniła. Stał i zamyślał się jak rozpocząć na nowo przerwaną rozmowę, obracając kapelusz trzymany w ręku.

— No, idź moje dziecko wypij kawę, odezwał się Prosper zażywając tabakę. Tylko się obrządzę z moim drobiazgiem to zaraz przyjdę do ciebie.

— Pójdę proszę pana, rzekł Franek nie ruszając się jednak z miejsca; radbym tylko wprzódy coś panu powiedzieć... tylko nie śmiem...

— No, no, a cóż to tak strasznego?

— Nic strasznego, ale ja pannę Zofią gdzieś już widziałem i tak mi się zdaje jakby była mi znajomą.

Starzec pokręcił głową i zażył tabaczki.

— A gdzieżby? zapytał. Zosia chowała się daleko przy rodzicach, i nie ma jeszcze dwóch miesięcy jak pierwszy raz przyjechała do Warszawy.

— To już byłem w szpitalu, odrzekł Franek, zawieźli mnie tam 24 Stycznia.

— No, to moje dziecko nie ją widziałeś bo ona na początku Lutego przyjechała do Warszawy. Ale cóż cię to tak bardzo może obchodzić? W Warszawie bardzo łatwo spotkać się z ludźmi podobnymi sobie.

— Nie panie, to nie było podobieństwo, odrzekł Franek z zupełnem przekonaniem: widziałem samą pannę Zofią w obłokach z anielskiemi skrzydłami; przy niej był drugi anioł z ciemniejszemi włosami tak samo piękny jak panna Zofia. Wpatrywałem się w nich i tak zapamiętałem że jak tylko zobaczyłem pannę Zofią, tak zaraz powiedziałem sobie, to on mój anioł, to samo spojrzenie anielskie, ten sam uśmiech i politowanie jak w tamtym. Zdawało mi się wtenczas, że jestem w niebie, że słyszę chóry cherubinów jak pieśnią chwalą Boga i taki byłem szczęśliwy, taki swobodny, że radbym był tak pozostać na zawsze. Nie panie, nie zdawało mi się, i tak jestem pewny że widziałem pannę Zofią w postaci tego anioła, jak że żyję teraz i z panem rozmawiam.

Pan Prosper z wielką uwagą wysłuchawszy opowiadania znowu pokręcił głową, spojrzał badawczo na Franka i sądząc zapewne że majaczy pod wpływem gorączki, zapytał:

— Czy ty chłopcze nie jesteś jeszcze chory?

— Ej! nie, tylko osłabiony.

— Bo to czasem choroba utai się, a w gorączce to różne zjawiska do głowy przychodzą i tak wyraźne, że zdaje się jakby były żywe.

— Ha! może to było zjawisko. Ludzie powiadają a i czytałem to w książkach, że aniołowie przychodzą na ziemię w postaci ludzkiej żeby być stróżami opiekunami. Panna Zofia....

— Dajże pokój maniaku, przerwał Prosper z pewnem oburzeniem. Zosia biedna dziewczyna przeszła przez takie zmartwienie żeby się nad nią ptak nawet ulitował, a ty ją Panie odpuść... ale idź wypij kawę, to cię pokrzepi i wypędzi z głowy dziwne przywidzenia.

Przy śniadaniu już nie było więcej mowy o przedmiocie tak żywo zajmującym Franka, a chociaż chłopiec często do niego wracał, pan Prosper zaraz starał się nadać rozmowie inny obrót. Wypytywał się o szczegóły jego przeszłości, litował się nad sieroctwem i opuszczeniem, radząc wyuczenie się jakiegoś rzemiosła któreby go od biedy w przyszłości zabezpieczyło. Franek poruszył główą z przeczeniem.

— Nie panie, rzekł, już mi umrzeć przyjdzie nadwiślakiem. Rzemiosła nie chwycę się za żadne pieniądze bo to niewola, a przy Wiśle jak spojrzę na nią, jak pluska i szumi, to mi się zdaje że świat cały do mnie należy a ja się w nim rozporządzam według swojej woli. Nie panie, już przy Wiśle do końca życia pozostanę.

— Ale to zarobek niepewny, odrzekł Prosper, dziś jest a jutro nie ma, a jak jest to szelest, do szyneczku, do bałamutki...

— Tak było ale już nie będzie, przerwał Franek z mocą jakby gniewał się na siebie. Nauczyło mnie dobrze rozumu a przy rozumie dojdę do chleba. Przy Wiśle różnie bywa, a kto się umie urządzić i oszczędzać, to i na stare lata przysporzy sobie tyle, że głodu nie będzie cierpiał. Dziś kiedy wiem, że mam aniołów opiekuńczych, to nic się nie troszczę o siebie i ustrzegę się biedy.

— Hm! mruknął Prosper i pomyślał w duszy, czy mu się w głowie przekręciło czy co? Ale kto odgadnie Boskie rozporządzenie! Niechże mu ten klin w głowie pozostanie.

I z tem postanowieniem zwracając się do Franka dodał:

— Niechże tak będzie jak pragniesz, ale pamiętaj na Boga chłopaku, bo jakbyś krzywą poszedł drogą...

— Niech pan będzie spokojny, odrzekł Franek całując starca w rękę. Ale żebym się mógł krzepić w swojem postanowieniu, to niech pan nie będzie przeciwny że tu zajdę czasami przy święcie. Pan mi poradzi jak ojciec, a panna Zofia jednem spojrzeniem utwierdzi w dobrem, bo niech co chce będzie, to wierzę że widziałem ją w postaci anioła a to bez woli Bożej się nie stało.

— Dobrze, dobrze mój chłopcze, odrzekł Prosper wstając od śniadania. Zachodź do nas jak ci tylko czas pozwoli, rady ci nigdy nie pożałuję bo według przykazania Bożego ludziom należy się wspierać i ratować a siwej głowie nieść pomoc młodemu.

Franek nachylił się do ręki starca, pan Prosper zrobił nad głową jego znak krzyża, wyszeptał z uczuciem błogosławieństwo i kiedy miał się z nim rozstać rzekł szperając w woreczku:

— Masz tu chłopcze dwa złote, dałbym ci więcej ale i ja wielki chudopachołek. Czem mogę to ratuję.

Franek popatrzył na pieniądz, później na pana Prospera i trzymając dłoń z darem nie zamkniętą drapał się frasobliwie w głowę.

— No, weź chłopcze, weź Bóg świadkiem że więcej dać nie mogę, odezwał się pan Prosper kuląc ramiona. Jak zarobisz to mi oddasz...

— Juścić wezmę, przerwał, bo nie śmiałbym odrzucić, ale... sam nie wiem jak podziękować. Takie różne myśli przychodzą mi do głowy... Czy ja umarłem, mówił dalej uderzając się w czoło, i znowu się urodziłem?

— Nie, on jeszcze w gorączce, pomyślał sobie Prosper, a głośno zrobił uwagę, że jeżeli się czuje słabym aby poszedł do szpitala.

Franek rozstawszy się z Prosperem, miał zamiar zaraz udać się na Pragę do znajomego sobie Antoniego, ale spotkał jednego z towarzyszy nadwiślańskich, i ten mu nastręczył miejsce w resursie w kontramarkarni.

Praca nieciężka, rzekł mu, tylko odbierać rzeczy i wydawać, a ciepło bo sień ogrzewana, to wypoczniesz, wylżejesz i wnet wrócisz do zdrowia. Byłem tam jakiś czas ale mi się naprzykrzyło i teraz jestem przy wodociągu do pojenia koni dorożkarskich. Niewiele to warte cóż jednak robić? Lepszy rydz jak nic, niech się jednak ociepli zaraz wrócę do Wisły.

Pomysł udał się, Franek za poręczeniem przyjaciela został przyjęty do służby i byłby w niej może pozostał bardzo długo, gdyż nie było dnia aby nie dostał kilka dziesiątek naddatku. Pewnego dnia pomiędzy gośćmi wychodzącymi z resury, spostrzegł owego młodego człowieka, co był powodem poróżnienia się jego z Józią i z którym spotkał się po wyjściu z szynku w stanie zupełnej prawie bezprzytomności. Ujrzawszy go, zadrżał, spojrzał na niego wyzywająco, a Stanisław, gdyż tak się nazywał, zwróciwszy na niego uwagę, sądząc że chce mu posłużyć, rzucił na stół numer mówiąc:

— Dawaj żywo ty wytrzeszczu, co patrzysz na mnie jak żółw w jaja.

Franek pozostał nieruchomym.

— Czyś słyszał? I czemuż się nie spieszysz?

Franek potrząsnął głową i usiadł na małym stołeczku. Wyręczyli go w posłudze towarzysze. Stanisław rozgniewany zmarszczył się i wkładając na siebie podaną algierkę mruknął:

— Cóż to za bałwana macie do pomocy?

— Zamknąć gębę, zamknąć! szepnął Franek poruszając się niespokojnie i ściskając pięście, bo jak stracę cierpliwość...

Na szczęście Stanisław nie mógł słyszeć tych groźb niewyraźnie szeptanych, nałajawszy więc na nieposłuch Franka, wyszedł z resursy. Po jego odejściu powstała sprzeczka, a później kłótnia, a że Franek nie objaśnił dokładnie powodów swojej niechęci i tylko z wielkiem oburzeniem powtarzał nadane mu przydomki żółwia i gamonia, uznali wszyscy że jest pijanym i jako człowieka niepewnego usunięto od obowiązku. Mało go to obchodziło i tego jeszcze dnia wyrzuciwszy z kilkanaście przekleństw na resursę, furfantów warszawskich i na swoich nowych w służbie towarzyszy, że się z nim tak niesprawiedliwie obeszli, wyruszył ku Wiśle na Pragę. Po drodze wstąpił jednak do pana Prospera, nie dla oddania pożyczki, bo z tej się uiścił oddawna, ale dla użalenia się i wygadania o zniewadze jakiej doświadczył.

— Nie daruję im nigdy tego! mówił do starca drżąc z gniewu. Nie dziś to jutro zemszczę się, a tego warszawskiego łobuza jak spotkam, to mu wszystkie kości połamę.

— To idźże sobie do samego belzebuba, odrzekł Prosper z niezwykłą żywością, do mnie przychodzą tylko ludzie z przyjaźnią i ze spokojem. Dla zemsty i łamania kości z nienawiści w moich progach nie ma miejsca. Idź sobie asan skoroś taki impetyk!

Franek zapłonął, zapomniał języka w ustach. Starzec tymczasem zwrócił się do klatek i mruczał coś do ptasząt poprawiając pręciki i kawałki chleba między szczebelkami osadzone. Młodzieniec zawstydzony, ze zwieszoną głową rzekł smutnie:

— To i pójdę kiedy mnie pan wygania...

— Tak, wyganiam, potwierdził starzec, bo żyję w chrześciańskie i z pogaństwem nie chcę się bratać, a acpana słowa to jak syk gadu co od niego człowiek daleko ucieka.

Franek nie wiedział sam co zrobić. Chciał wyjść a nie miał odwagi, coś go przykuwało do starca choć go karcił tak surowo. Wreszcie poprawił ubrania, podsunął się ku drzwiom i kiedy miał już wysunąć się na ulicę, zwrócił się nagle do starca i całując w ręce załkał dusząc płacz w sobie.

— Płaczesz chłopcze? zapytał starzec kładąc rękę na głowie i przyciskając ją do piersi. To dobrze, poczciwa natura odezwała się w tobie, zawsze słuchaj jej głosu a nie pobłądzisz...

— Tak, płaczę kochany panie, odezwał się Franek, bo kiedy już mnie i pan odpycha od siebie, to nie ma dla mnie kąta na ziemi... zagubię się...

— Chłopcze nie bluźń i nie gadaj o zagubie; przyjdzie ona sama prędzej jak myślisz, a zaprzątnij się tem tylko żebyś codzień był lepszym...

— Lepszym? powtórzył Franek podnosząc rękę do czoła i jakby go nagle jakaś myśl uderzyła dodał ciszej: więc ja złym jestem?

— No, no, uspokój się, mówił dalej starzec zupełnie udobruchany. Wiele jednak razy chłopcze przyjdziesz do mnie, to wszystkie nienawiści, zemsty i chętki do łamania kości zostaw w sieni. Bądź spokojny, nikt ci ich tam nie ukradnie, jak wyjdziesz znów je pozbierasz, jedne wpakujesz do serca, drugie w głowę wsadzisz, trzecie wetkniesz w duszę, ot i znów będziesz Frankiem ściskającym pięście. W mojem małem mieszkanku w takim przystroju byłoby ci ciasno jak śledziowi w beczce, a ja radbym żeby u mnie nikt nie narzekał.

Wypadek ten miał miejsce w ostatnich dniach kwietnia; Franek był już zupełnie zdrów, tylko brak pełności ciała i czerstwych rumieńców na twarzy świadczyły o ciężkiej przebytej chorobie. Kierując się ku mostowi na Pragę szedł spiesznie, mijał przechodniów często potrącając nie o jednego, a chociaż Wisła płynęła w całej wspaniałości i Franek spoglądając na nią rozjaśniał twarz miłym uśmiechem, robił to jednak nieświadomie, z pewnem roztargnieniem, jakiemu zapewne ulegał pierwszy raz w życiu. Myśli jego widocznie krążyły wewnątrz duszy, szamotały się w niepewnościach, w przypuszczeniach, czasami odbiegały gdzieś daleko i spadały jakby w przepaść strącone czując że mają otchłań pod sobą bez ratunku. W takich razach Franek wzdychał, przystawał i prostując się spoglądał w lazur niebieski, rozciągnięty jak opona po nad jego głową, jakby spodziewał się wypatrzeć w jego głębi majestat Boży w otoczeniu archanielskich chórów. Czasami zdawało mu się, że widzi główki aniołów trzepoczące skrzydłami niby ptactwo wysoko krążące, że te główki uśmiechają się do niego, wabią, stają się podobnemi do widzianych w czasie choroby postaci, ale gdy pewny że się nie myli wzrok lepiej wytężył, główki aniołków przemieniały się w pierzaste chmurki, które przesuwając się, kłębiąc zlewały w jedną smugę białą jak śnieg, płynącą w majestatycznej ciszy pełnej tajemniczości.

Było to pierwsze ocknienie myśli poważnej, wyzwanie uczuć i namiętności do śmiertelnej walki, gotowanie się dwóch zapaśników znających swoją potęgę, aby z pod przewagi zwierza wydobyć człowieka. Zaraz też po tych dumaniach stanął mu w pamięci główny powód jego choroby... upicie się i breweryе dokazywane w szynku. Nad tem wspomnieniem unosiła się jak widmo złowroga postać powabna Józi, jej buziak uśmiechnięty, figlarne spojrzenia i te powabne słówka jakiemi go wabiła do siebie.

Otrząsł się i szepnął z gniewem:

— Podła kłamczyni! O mało swego głupstwa nie przypłaciłem życiem... dobrze mi tak, przynajmniej nauczyłem się rozumu.

Potem mignęły mu w myśli dwie postacie anielskie widziane w sennem podczas choroby marzeniu, w którem był pewny że oderwany od ziemi unosił się w jakichś nieznanych przestrzeniach i używał szczęścia przeznaczonego dla błogosławionych.

— Dla czego tam nie zostałem? pytał sam siebie i po chwili odrzekł z żalem:

— Nie byłem godny tego. Droga do nieba nie przez szynk idzie. Anioła jednego już widziałem w ziemskiej postaci, drugiego zobaczę... Bóg mi w nich dał aniołów stróżów... szanować ich będę całe życie.

W obszernem tem zadaniu Franek błąkając się, przypomniał sobie śmieciarkę pannę Katarzynę i niewidomego kalekę pana Wojciecha. Litując się nad ich losem nieszczęśliwym, nagle zwrócił uwagę że mimo swego położenia, stoją stokroć wyżej od niego, choć nie dotkniętego ślepotą i nie wyszukującego zarobku w brudnym śmietniku lub w wyciąganiu ręki po jałmużnę. Spokój jaki ich dusze zapełniał, poczucie szczęścia, ich wzajemne żarty z siebie, zadowolenie z życia, jakże były różne od namiętności wstrząsających duszą jego, choć cały świat stał dla niego otworem i uśmiechał wszystkiemi nadziejami życia w jakie młodość przystraja swoje marzenia. Przejęty dla nich wdzięcznością za dobroć doświadczoną, domyślił się, że chcąc zostać tak szczęśliwym jak oni, trzeba stać się podobnym do nich.

Kiedy przyszedł do tego wniosku, zdawało mu się że widzi przekupkę panią Adamowę jak spogląda na niego z uczuciem matki, pana Prospera tulącego go do siebie z błogosławieństwem, a Zosię już w swej ziemskiej postaci z drugim aniołem niewcielonym jeszcze w człowieka, podnoszącą oczy w niebo z tak religijnem namaszczeniem, że uczuł drganie własnego serca i łzy błyszczące w źrenicach.

— Boże mój Boże! szepnął, czyż to Twoja wola pisze mi w myśli to co czuję i widzę tak jasno?

Franek ciągle szedł zadumany, nie widząc nic w koło siebie, jakby świat cały był w nim zamknięty. Ten stan moralny był całkiem dla niego niezrozumiały. Nie pojmował, że siła myśli, zastanawiania się, rozumowania i wnioskowania, są to dary z jakiemi człowiek na świat przychodzi. Nauka podnosi je, w subtelne zapędza manowce, oczyszcza z przypuszczeń w dziecinnej wyrosłych wyobraźni, ale ich nie tworzy i bez nich człowieka wyżej nad drugich nie wznosi. Z warstw zamożnych, dary te dają dzielnych mężów, których historya na karty

swoje wprowadza, z nizin społecznych wytwarzają samouczków często przewodzącym całym społeczności. Z tak dzielnemi jednostkami, co same przez siebie dochodzą do pojęć i wyobrażeń, jakiemi setki tuż przy nich żyjących nigdy się nie zaprzątają, można nierzadko spotkać się odzianych siermięgą przy roli lub warsztacie. Społeczność nasza nie skąpo w nie uposażona, byle chciała rozważnie spojrzeć ku dołowi i podać rękę domagającym się dźwignienia, spostrzeże ich łatwo. W starożytnej Grecyi cały lud tą potęgą myśli obdarzony, wyrobił cywilizacyą, jakiej do dziś dnia jeszcze prześcignąć nie możemy. W nowych dzisiejszych czasach, społeczności takich nie ma, ale z jednostkami wszędzie spotkać się można. Jedną z takich był Franek, niestety! zostawiony sam sobie bez żadnej pomocy. Jakim sposobem nauczył się czytać, już wiemy: były to kwaśne jabłka, których nie każdy chciałby kosztować. Jakim mógłby zostać człowiekiem, a jakim zostanie, zobaczymy.

Kiedy Franek doszedł do domu tak dobrze sobie znanego, spojrzał w górę na facyatkę marszcząc brwi i z wielkiem zadowoleniem odetchnął ujrzawszy w oknie obce sobie zupełnie twarze.

— Wyniosła się więc ta zwodnica, pomyślał, niechże przepadnie bez śladu!

Stróża Antoniego zastał Franek w izdebce, szykującego miotłę do zamiatania. Miał na sobie bluzę niebieską jeszcze niepoplamioną, czapkę nieobdartą i buty dosyć nieznoszone. Kiedy Franek wbiegł zamaszyście i stanął wyciągając rękę, Antoni zerwał się, przyjrzał i zawołał z niezmiernem zdziwieniem.

— To ty Franek Skowroński, mój dawny Franek....?

— Czyż mnie pan Antoni nie poznaje?

— Ja? Ja miałbym cię nie poznać? Ale mi na pewno powiedziano, że umarłeś w szpitalu.

— No, toć pan widzisz że żyję.

— Tak, widzę i nie wierzę. Ach! mój Franku, to ty żyjesz? Jakże się cieszę! Patrz ladaco, że z tej radości aż mi łzy w oczach stanęły. No, no! a ja już nieraz i wieczny odpoczynek za ciebie zmówiłem.

— Niewiele panie Antoni brakowało, abym był już nieboszczykiem.

— No — no, to dziwy! kręcąc głową mówił Antoni. Ale musiałeś przejść przez dobre tarapaty, skoro się tak zmieniłeś.

— Tak panie Antoni, byłem jakby opętany przez dyabła, o czem słyszałem kazanie w kościele. Kiedym się ocknął, ujrzałem się w szpitalu, przy pomocy poczciwych ludzi wygramoliłem się i zaraz tu przyszedłem do pana Antoniego.

— Niech ci Bóg da zdrowie poczciwy chłopcze żeś o starym Antonim nie zapomniał. Jedyna to dla mnie pociecha, bo w mojem położeniu nikt człowieka nie uszanuje i każdy *tyka* jakby sobie równego. Ale od Ś-go Jana porzucę służbę i pomyślę o jakiej posadzie więcej honorowej. Dość tej potyrki, czyż to nie mogę być choćby nawet urzędnikiem. Żebyś wiedział jak nasi *rzeźnikowie* zadzierają nosa, fiu! fiu! ale poczekajcie, zadrę ja wam swego i jak się pomieszczę w jakim biurze choćby na woźnego, to muszą mi panować, bo udam że ich nie znam.

Franek przez czas tetryczenia Antoniego śledził krzątanie się kur i kaczek na podwórzu zajętych grzebaniem w śmieciach. Czasami przerzucił spojrzenie po parterowej drewnianej oficynie z dachem już dobrze zniszczonym, w której trzy okna należące jak przypuszczał do jednego mieszkania, zasłonięte były starannie firankami i to tak szczelnie, że nawet pomiędzy niemi jednej szparki nie mógł dopatrzeć. Zaciekawiło go to niezmiernie, zwłaszcza że firanki czasami poruszyły się jakby za niemi coś układano.

— Kto mieszka panie Antoni, zapytał Franek, w tej oficynie naprzeciwko?

— A kat ich tam wie, odrzekł Antoni machając ręką z niezadowoleniem. Jakem się pokłócił z rzeźnikami tak mnie przenieśli do drugiego sklepu w Warszawie, tam przez całą zimę przesiedziałem i dopiero wczoraj powróciłem na Pragę. Nie znam więc jeszcze nowych lokatorów. Ach! mój bracie co tu było termedyi, co przekleństwa, co wywoływania, a to wszystko z taką hardością jakby za panie brat. I o co szło? Panie odpuść, o głupi salceson, jakby *rzeźnikowie* nasi byli biedactwem, którym ostatni kawałek jadła od ust odejmują. Ciekawa to historya! Było to przy końcu zapust, *rzeźnikowie* wydali bal, ale jaki bal! Nawet z winem, jakby ludzie z lepszego stanu. Sprosili gości, a wszystko w jedwabiach, w futrach, naszykowali wina, piwa, wódki słodkiej, indorów, kaczek, nawet dwóch zajęcy i sprowadzili grajka do dudlenia na fortepianie. Ja na to wszystko patrzyłem i kręciłem głową i myślę sobie: napalili w piecach a u mnie zimno w dziurze, na mnie łachmany a na nich sajety, u mnie świeczka groszowa a tam jarzy się z kopa świec i lampy, oni się bawią a ja walam się po kuchni i podwórzu; tak myślę sobie i ja sobie bal sprawię. Wziąłem więc parę butelek piwa, flaszkę wódki i salceson i zaprosiłem Walentego tracza z żoną do siebie. Z salcesona wydało się wszystko, bo Maryśka kucharka rzeźników to wielka plotka. Dalej więc w krzyk na mnie, że to złodziejstwo! A ja nic, tylko potrząsam głową, ale jak zaczęli wydziwiać i wywoływać od złodziei, tak ja rzekę: ostrożnie z wymysłami, bo i ja mam język i drasnę. A i drasnąłem, bo rzekłem: ani mój ojciec, ani dziad lub pradziad wieprzami nie handlowali, a ja się nie wychowałem na okrawkach z szynki i przy szczecinie, to złodziejem nie jestem. Jakeśmy się tak wykłócili, tak potem przenieśli mnie do Warszawy, bo zaraz chciałem odejść ze służby. Niedługo będę im jednak zawadzał, a przy tobie to przesiedzę do Ś-go Michała, bo przez zimę ze śniegiem czyste utrapienie.

Franek słuchając jednem uchem opowiadania Antoniego i patrząc ciągle na podwórze, zobaczył pomiędzy fałdami firanek w jednem z okien, na które zwrócił szczególną uwagę, pokazującą się rękę kobiecą, a później twarz całą jakby mignienie błyskawicy. Zaczerwieniony, zerwał się z siedzenia, z po za firanek znowu pokazała się ręka zaspilająca starannie rozsuniętą osłonę, a z nią pół twarzy, ale już nie tej którą dojrzał poprzednio.

— Czy czary, czy co? pomyślał sobie, ale wyraźnie dostrzegłem twarz którą widziałem w chorobie. Zosia jeden mój anioł opiekuńczy a ta drugi.

Franek postanowił koniecznie dowiedzieć się, kto zajmuje mieszkanie tak wielce go obchodzące, a nie mogąc nic wyciągnąć z Antoniego, wybiegł z izdebki na podwórze.

— Czy zwaryował czy co? mruknął Antoni spoglądając za Frankiem. Myślałem że się weźmie do miotły, a on wyleciał gonić wiatr po świecie. Żebym mu zastawił stół porządnem śniadaniem, byłoby inaczej, ale teraz skąpo na mnie, pilnują jakby jakich skarbów, że człowiek nawet sznurka serdelków nie może mieć w zapasie. Nie ma tu co robić z tem prostactwem; wszystko w zębach ściskają że aż piszczy, co to mi po takiej służbie!

To mówiąc Antoni wbił trzonek w miotłę i mamrocząc ciągle to na ciasnotę w izbinie, to na drzwi że są za wązkie a próg za wysoki, wytoczył się na podwórze i zabrał do zamiatania.

— Tfu! do diaska! mruknął plując w dłoń. Myślałem że ten wietrznik mi pomoże, ale gdzie tam, poleciał jak opętany. Już to na prostym człowieku nic nie wykołacze, nie tak jak ja, co serdelka bez podziału sam nie zjadłem. Tfu! nie warto żyć na świecie!

*(d. c. n.)*

# WSPOMNIENIA Z PODRÓŻY

## do Południowych Stanów Zjednoczonych, w 1875—1876 r.

PRZEZ

**Sygurda Wiśniowskiego.**

(Dalszy ciąg).

Niestety, nie mogę bawić się z nią dłużej... do Birminghamu daleko jeszcze, a słońce rozdyma się, zarumienia i zbliża do czarnego boru. Matka żegna mnie przyjaznem skinieniem głowy; dziecię odprowadza do pagórka, z którego będzie wyglądała powrotu ojczyma.

Zbiegłem z góry, wyszedłem na inną. Obróciłem się. Dziecię niedoli wciąż tam stało... główka jego lśniła anielskim blaskiem w iluminacyi wieczora. Raz jeszcze skinąłem do niej ręką, życząc jej lepszej przyszłości niż doznała jej rodzina!...

Z Atlanty przez Augustę i południową Karolinę puściłem się koleją do celu swojej pielgrzymki, Florydy, zwanej Italią Ameryki. Im bliżej dojeżdżałem do morza, tem żywiej czułem powiew tropikalny. Lasy i plantacye przypominały widoki widziane dawniej, na południowej półkuli. Kwiaty dziergały kobierce łąk, śród zimy. Zieleń borów ciemniała, a na drzewach liściastych rozwijały się już pączki. Nie mogłem odszukać swojskich form pomiędzy tutejszą roślinnością, złożoną z obcych mi botanicznych rodzin, o fantastycznych kształtach. Już zjawiają się palmetty południowe. Sawanna, ziemia skropiona świętą krwią naszego bohatera, tworzy granicę tych roślin i pomarańcz. Na tej granicy, pomiędzy krajem wiosny i surowszą północy bieleje pomnik Puławskiego... Niestety, nie mogłem być w Sawannie.

Przejazd przez nadmorskie płaszczyzny południowej Karoliny nuży jednostajnością swoją, nakształt podróży przez Brandeburgię. Łany słynnej i najlepszej na kuli ziemskiej bawełny, zwanej „bawełną wysp morskich.“ (gdyż udaje się najlepiej na płaskich wyspach, strzępiących wybrzeże Karoliny), przeplatane ponuremi sosnowemi borami, nie przedstawiają przyjemnego widoku z okien wagonu. Dziwnie uderza zmiana w niektórych drzewach, wspólnych wszystkim częściom świata, wywołana warunkami klimatycznemi. Brzoza południowa pozbyła się świetnego stroju północnych sióstr swoich, co odziewają się w pyszne, srebrne jedwabie i potrząsają wielkiemi płatami białej kory, przedstawiając mi zawsze symbol marnotrawnic. Na południu odziewa je tylko gładka, cieniutka, chłodna kora. Dąb poważny, mieszkaniec wszelkich stref, króluje i tu nad drzew królestwem, i wieńczy czoło jemiołą, lecz zrzucił w tej ciepłej ziemi swój kożuszek z brązowej, grubej kory, rozkoszując w szacie cienkiej i popękanej.

Wreszcie znikły dęby, brzozy, świerki. Bawełna, bawełna i tylko bawełna wszędzie! Nie wiem gdzie idą sumy olbrzymie, płacone corocznie przez Europę po-

łudniowym stanom, za białe puchy bawełny, wynoszą one co rok miliard franków! Sądząc z rzadkości pieniędzy w bawełnianych stanach, wolnoby sądzić, że nie dochodzą do rąk producentów. W Karolinie znów słyszałem narzekania, bębnione mi w uszy od kiedy opuściłem Cincinnati, na ogólne bankructwo i nędzę. Obok mnie siedzi w wagonie strojna dama, pół francuzka, jadąca z Nowego Orleanu. Widok francuzkiej powieści w moim ręku ośmiela ją. Na stacyi prosi mnie, gdy wychodzę na perron dla wyciągnienia nóg i przekąski, abym kazał jej przynieść filiżankę kawy. Ztąd wynika oczywiście podróżna znajomość. Moja sąsiadka, złożywszy ręce na kolanach z giestem właściwym paniom, co zabierają się do zwierzeń, wylicza mi wszystkie klęski tutejszego społeczeństwa. Zna je, gdyż posiada plantacyę w tych stronach, z której powraca do miasta.

— Wojna, a bardziej jeszcze uwolnienie murzynów, zrujnowało całą naszą arystokracyę. Nam, wychowanym wykwintniej od lordów angielskich, wypadło wychylić bez ostrzeżenia kielich nędzy, co do kropli. Nie uwierzyłbyś pan, ile osób oszalało skutkiem tej zmiany... ile świetnych umysłów skończyło w domu obłąkanych! Jedni sprzedawali ojcowiznę częściami, utrzymując dawne pozory, póki mogli. Wreszcie znikli... w grobie lub ucieczce w dalekie strony szukając schronienia od haniebnego bankructwa. Inni odprawili ekonomów i zabrali się do pracy, dozierając sami swoich gospodarstw. Wielu z nich także zbankrutowało, albowiem nie umieli pracować. Sprzedawaliśmy ekwipaże, zaprzęgając konie cugowe do pługów. Gdy konie zdechły już tylko starczyło nas na kupno mułów. Rodziny co dawniej żyły pół roku w Europie, zdumiewając Paryż, Florencyą i Baden hojnością, cierpiały głód w dosłownem znaczeniu tego słowa. Damy które odwiedzały dwory monarchów, musiały gotować własną strawę. Od początku rodu ludzkiego nie widziano takiego przewrotu i zubożenia. Cały kraj ruszał się... była to istna wędrówka narodów. Właściciele pałaców przenosili się do chat, lub opuszczali rodzinne powiaty, aby ukryć wstyd swego ubóstwa pomiędzy obcymi. Wyzwoleni murzyni odbiegali plantacye, koczując bezustannie, w zadowoleniu ze swojej wolności. Z czasem uspokoiliśmy się. Niektóre rodziny uratowały tyle, że mogą utrzymać się przyzwoicie. Ach, nawet to przyzwoite życie zatruwają tysiączne okoliczności, do których niepodobna prawie się przyzwyczaić. Pomnij pan, że każda rodzina posiadała dawniej kilkoro starych sług, których nigdy nie sprzedawano. Tajemnice domowe nie stawały się więc przedmiotem plotek... służba nie mogła je wynosić. Teraz, kiedy czarne kucharki i pokojówki mieniają się co tygodnia, każdy wypadek w lepszym domu dochodzi nietylko do wszystkich sąsiadów, ale do gazet parafialnych. Słowem nie możemy żyć na wsi.., dla tego też mieszkamy w Nowym Orleanie.

Sądząc z dalszego zachowania się tej pani w krótkiej podróży, pomiędzy mężczyznami zupełnie obcymi sobie, nie dziwiłem się zgoła, że jej odprawione pokojówki miały o czem prawić sąsiadkom, że lubiła mieszkać w Nowym Orleanie. Kreolki południowe, czyli Amerykanki krwi hiszpańskiej i francuzkiej, doprowadziły kokieteryą do doskonałości ścisłej nauki i zawróciłyby głowę świętemu Antoniemu... Dobrze, że zostawiliśmy ją na rozstajnej drodze.

Łany bawełniane leżą już po za nami. Znów mknie po prawej i lewej wagonu bór ciemny. Światełka dworców migają w przelocie; ciepła noc południowa ogarnia okolicę.

Na pewnej stacyi przypatrzyłem się trybowi tutejszej pracy. Ładowano drzewo na tender za lokomotywą. Pracę tę spełniała gromadka murzynów, kłodki nie ważące centnara podnosiło kilka par czarnych dłoni. Robotnicy udawali znużenie... sapali i stękali. Kłody szły powoli z rąk do rąk, pakowano je na wozie po długich naradach nad najstosowniejszą pozycyą. Po włożeniu kilku sztuk drzewa murzyni gryźli tytuń, odpoczywali, śpiewali i gawędzili. Opodal grzało się przy ogniu trzy razy więcej czarnych i czekoladowych trutniów, niż pracowało przy drzewie. Widzowie ci śledzili poważnie ruchy robotników, zachęcając ich niekiedy radami. Grupa ta ubrana dziwacznie, barwna, kudłata, oświetlona łuną ogromnego ognia, przedstawiłaby wyborny temat dla malarza. Grzejąc obnażone golenie i piersi przy ogniu, z oczyma łzawemi od dymu, grzbietami w łachmanach strudzonemi chłodnym, nocnym wietrzykiem, pląsając i szczerząc zęby, czuwały te dzieci Karoliny bez innego celu, jak by zabijać nudy jednostajnego życia widokiem pociągu, co wiózł białych ludzi. Za nimi stała inna grupa z urzędników kolei, nibyto doglądających robotników ładujących drzewo. Lecz robotnicy robili co chcieli, a dozorcy rozprawiali o rzeczach postronnych, prawdopodobnie o polityce. Patrząc na tych niedbałych stróżów pomyślałem mimowolnie,, *quis custodit custodes?*"

Ponieważ i żółw dobiega ostatecznie do mety, więc i ta żółwia praca skończyła się nareszcie. Pociąg ruszył w dalszą podróż, tętniąc radośnie. Ten syn energii i pary ucieszył się, że się otrząsł z zaspanego towarzystwa..

W wspomnieniach z Kentucky, Tennesee, Alabamy starałem się przedstawić tylko te osoby i tryby życia poznane tam, które uważałem za typy warstw społecznych i zajęć południowych. Opisywałem co widziałem... plantatorów i murzynów, fotografując ich, ze wszystkiemi sprzecznościami dziwnych charakterów. Ktokolwiek przeczyta uważnie te opisy, pomyśli zapewnie, że z nich niepodobna zgadnąć, co autor myślał o charakterze murzynów amerykańskich lub ich przyszłości. Raz maluje on ich jako kłamców, złodziei, leniuchów, drugi raz jako robotników na ulicy Nashville, celem uczęszczania na uniwersytet. Tu przedstawia plantatora tyranizującego nieszczęśliwe plemię, tam opisuje toż same plemię jako plagę krajową. Cóż on myśli o niem?

Nic nie myśli... widział chaos, opisał chaos, nie wie co z niego będzie. Wie tylko, że wszystkie znane sobie ryczałtowe wyroki o społecznym stanie Południa, nie zgadzają się z tem lub owem, co czuje od czasu podróży swojej. Pisarz piorunujący na plantatorów ma słuszność i krytyk rządu wojennego celem opieki nad murzynami ma ją także; korespondent malujący murzyna w czarnych barwach i ujmujący się za białymi południowcami przeciw torbiarzom także ma słuszność! Wszyscy mają słuszność i wszyscy nie przedstawiają tego co on widział, a nie umie opisać i ocenić. Jestto paradoks. Świat jest pełnym paradoksów.

Ale tyle wiem, że ci despoci europejscy, te holenderskie, francuzkie, angielskie i hiszpańskie szatany, co sprowadzili rasę niepostępową do Ameryki, co osadziły ją pomiędzy inną, która musi jej nienawidzić istynktowo, zostawiły Nowemu światu chaos zagadkę, klątwę, wrzód którego wieki nie usuną, przyczynę przyszłych klęsk, w porównaniu z któremi domowa wojna była igraszką,

## III.

## F l o r y d a.

W wagonie robiło się coraz cieplej. Rozpinaliśmy surduty i zrzucali z nóg kołdry. Otwierano okna. Wychyliłem głowę na dwór. Owiała mnie fala ciepłego, balsamicznego powietrza. Prądy nieznanej, przyjemnej woni wciskały się do powozu.

— Tak tylko zefir Florydy pachnie, rzekł jeden z podróżnych.

W godzinę później, tuż przed brzaskiem, pociąg stanął obok dworca, a konduktor zawołał: „Jacksonville."

Już obok peronu spotkałem dawnych znajomych z Oceanii, Przyjaciółki z Fidżi i Queesland'u, malownicze banany, o giętkich, zielonych łodygach, o liściach nakształt ogromnych piór strusich, ocieniały każdy domek. Pomarańczowe drzewa kadziły białym kwieciem. Wietrzyk czerwcowej łagodności, ciepły nakształt dziecinnej kąpieli, szemrał w gęstwinie bananów, wywołując ów suchy, cichy, wdzięczny szelest, właściwy tej roślinności. Horyzont wschodni oblał się karminem tropikalnego wschodu słońca; szczyty drzew, tworzące firankę pomiędzy mną i oceanem Atlantyckim, kapały złotem i pomarańczowem światłem. Wszystko mówiło, że zawitałem pod niebiosa tropikalne, zostawiwszy zimę, wichry i energią Północy daleko po za sobą.

Tak, stałem u wrót do czarodziejskiej, podzwrotnikowej Florydy, o której tyle słyszałem i czytałem, że wyobraźnia stworzyła cudowny obraz z tych opowiadań. Wierzyłem, że przyjechałem do raju ziemskiego, że bory tutejsze zaćmiewają knieje australskie gęstością pni, połyskiem liścia, bujnością pasożytów, tworzących siatki nieprzebyte prawie, nawet dla maluczkich kolibrów. Tu ptactwo leśne lśni nakształt drogich kamieni. Klimat tu łagodniejszy niż na wyspach Polinezyi; ponad Sycylią nie wisi czystszy, ciemniejszy firmament; słońce i księżyc nie świecą wspanialej nad Sumatrą.

Tak mi przedstawiono Florydę w dziełach podróżników spółczesnych. Jeszcze szumniejsze panegyryki na jej cześć czytałem w dawnych, hiszpańskich i francuzkich kronikach, pisanych przez konkwestadorów, bukanierów i wojażerów (jak się sami tytułowali), co przez dwa wieki walczyli o posiadanie półwyspu florydzkiego, wyobrażając sobie, że gdzieś w jego rdzeni, po za gajami z kolczatych kaktusów, kępami z jadowitych mangrowów i bagniskami bezdennemi, bije źródło wiecznej młodości. Jeden haust z tej krynicy miał niweczyć wyroki czasu i śmierci... jak też szukano jej... ile okrętów wiozących badaczy za tem źródłem rozbiło się na mieliznach Florydy... ilu śmiałków poległo od strzał indyjskich lub wyziewów tropikalnych, nie znalazłszy tajemniczego źródła! Jeden z tych awanturników, pobożny konkwestador z Andaluzyi, przebiegł cały półwysep w pielgrzymce za cudowną krynicą. Zadziwiony obfitością i pięknością kwiatów deptanych w podróży, nazwał tę ojczyznę kwiecia Florydą.

Do dziś zasługuje ona na tę nazwę. Nie znaleziono w niej dotąd źródła młodości, o którego istnieniu zapewniają pierwsi kronikarze odkryć amerykańskich, jednakże odkryto w niej źródło zdrowia, dla suchotników północnych. Tętni ono wszędzie— w powietrzu Florydy. Co zima zbierają się na półwyspie goście delikatni. A nawet, jakoby na dowód, za baśnie kronikarzy urosły na podstawie rzeczy istniejącej, znaleziono w jego rdzeni ową toń przecudną, nazwaną „Srebrnem źródłem (*Silver Spring*), którą kilkadziesiąt tysięcy osób odwiedza każdej zimy.

Zdobywcy Florydy, naśladując przykład mieszkańców wszystkich stref, gdzie przyroda sprzyja zbyt łaskawie człowiekowi, zadawalniali się spożywaniem jej darów w gnuśnem *dolce far niente*. Floryda nabrała wartości ekonomicznej dla świata dopiero od czasu sprzedania jej czynnym Yankesom. Na jej ogromnej przestrzeni mieszka dotąd ledwie ćwierć

miliona mieszkańców. Południowa jej część dwie trzecie całości, zachowała dziewiczą, pustą powierz, chnię wyglądając dziś, jak wyglądała za dni Kabot'a, swojego odkrywcy.

Pozbywszy się śladów podróży w najbliższym hotelu, wyszedłem na miasto. Jacksonville celuje ponad inne grody Florydy ruchem, handlem i przemysłem. W zimie przepełniają je goście północni. Wtedy wygląda nakształt kąpielowego, europejskiego miasta, a główną ulicę jego tworzy szereg hotelów i domów zabawy.

Szeroka rzeka Saint John, mająca tu pół mili geo. szerokości, więc podobniejsza do jeziora niż do rzeki, zakreśla wielki łuk dokoła miasta, odzwierciadlając wspaniałe morskie parowce, bujające przy grobli i półksiężyc miejskich magazynów. Cokolwiek powyżej miasta rozprzestrzenia się ta rzeka w jezioro, mające 6 mil ang. szerości. Największe okręta dobijają o kilkanaście mil geo. powyżej Jacksonville, a mniejsze parowce dostają się o 300 mil ang. od ujścia rzeki wgłąb kraju, aż do niezmiernych moczarów, z których Saint John wypływa. Źródliska tej rzeki pokrywa głębsza tajemnica, niż źródła Nilu.

Powróciłem do hotelu na śniadanie, przechodząc przez szpaler murzynów, czekających na rogu ulicy, aby ich kto najął. Kapelusze i surduty tej gromadki posłużyłyby wybornie na straszenie wróbli z łanów. Twarze ich zdradzały owe gruntowne zadowolenie, właściwe wszystkim murzynom amerykańskim. Jestto najszczęśliwsze plemię na świecie, szczęśliwe we wszystkich warunkach i miejscach, byle nie pośród zimowych mrozów.

Towarzystwo przy *table d'hôte* odpowiadało krajowi, tworzącemu wielki szpital. Mieliśmy dwie panny w żałobie... ojciec ich umarł na gardlane suchoty w Jacksonville. Inna pani straciła brata w podobny sposób, wybrawszy się zapóźno do Florydy, nie przeżył trudów podróży. Przy stole siedzieli albo suchotnicy, albo ich krewni i towarzysze, lub też koloniści, zarażeni manią szerzącą się na Północy, jakoby Floryda przedstawiała doskonałe pole dla małych kapitalistów. Ci ludzie rzucają się zwykle do uprawy pomarańcz, a najczęściej jak się przekonałem później, stają się pastwą miejscowych oszustów, którzy sprzedają im wydmy i błota za drogie pieniądze, uczą ich niby sadzenia i pielęgnowania drzew pomarańczowych i bananów, rzeczywiście zaś ogałacają ich systematycznie z pieniędzy. Uważałem że i nasz hotel, jak każdy zajazd we Florydzie, mieścił kilku takich spekulantów. Jeden z nich do mnie się przyczepił i przez pół godziny plótł mi kłamstwa namacalne dla osoby cokolwiek oczytanej, o Florydzie. Myślał, że i ja należę do spekulantów, goniących za tanią ziemią, rozkosznym klimatem i plonami, co zbogacają bez pracy. Wedle zwyczaju wielu amerykańskich oszustów, udawał osobę bardzo pobożną. Gdy po śniadaniu wspomniałem, że wybieram się w łodzi na rzekę, zgorszył się niepospolicie tem nieuszanowaniem dnia świętego. Była to niedziela.

Nie podzielając jego skrupułów wynająłem łódkę zaopatrzoną w wiosło i żagiel i puściłem się na rzekę. Właściciel łodzi nie zapomniał włożyć do niej beczułkę ze słodką wodą, albowiem przypływ morski dostaje się nawet powyżej Jacksonville, psując smak wody w Saint John. Lecz dzięki soli zawartej w sobie, woda tej rzeki posiada zdumiewającą przezroczystość. Oko sięga do dna przez nurty dziwnej, kawowej barwy, tak głębokie, że największy okręt buja na nich swobodnie jak na morzu.

Łagodny wiatr wypełniał mój żagielek, w którego cieniu ukrywałem się przed słońcem, rażącem tu nawet w zimie, jak u nas w dniach sierpniowych. Przy brzegu naprzeciw Jacksonville spotkałem archipelag wysepek, wznoszących się ledwie kilka cali nad poziom wody, lecz podtrzymujących gęstą roślinność, z rodzaju krzewów lubiących chłód wody u korzenia a skwar słoneczny na koronach. Po nad nie strzelały śmigłe, wiotkie palmetty. Powiewny ich liść szemrał rzewnie nad moją cichą łodzią i ocieniał ją doskonale.

(*d. c. n*).

## Korespondencya z Berlina.

Zatrute powietrze Berlina. — Czarodziejstwo. — Reformy w nauczaniu publicznem. — Kongres dziennikarzy. — Ogród zoologiczny w Berlinie. — Pocałunek, komedya p. Doczi. — Zawalanie się domów w Monachium. — Pojedynki studentów uniwersytetu.

Coraz głośniejsze powstają utyskiwania na cuchnące i niezdrowe wyziewy, zatruwające powietrze stolicy cesarstwa niemieckiego. I rzeczywiście, trudno pojąć, aby miasto tak bogate i tak stosunkowo niewielkim obciążone długiem (21,000,000 marek), nie wydające swego dochodu (17,000,000 marek), nie starało się zaradzić złemu, które mieszkańcy opłakują lub przeklinają. Złe wyziewy powstają z powodu braku kanalizacyi wód przepływających przez miasto i niedbalstwa z jakiem mieszkańcy pozbywają się wszelkich z domów swych nieczystości. Wszystko bez wyjątku wrzucają do Sprei, zawalając i zanieczyszczając coraz więcej łożysko tej cuchnącej rzeki, będącej główną przyczyną zanieczyszczenia powietrza. Pewien berliński poeta w ten sposób opisał swą rodzinną rzekę: „Wpływając do stolicy Sprea podobna jest do łabędzia, zaś wypływając z niej do — świni“ porównanie nie koniecznie poetyczne, ale prawdziwe.

Berlin zalicza się do najniezdrowszych miast w Europie. W wielu miastach angielskich, np. w Manchester, umiera jedno dziecko na pięć w pierwszym roku życia, a połowa w pięciu pierwszych latach; w Berlinie, z nowo narodzonych umiera 1 na 3, a połowa już w końcu dwóch lat. W r. 1871, na 31,362 nowonarodzonych dzieci, umarło 19,072. Odnosząc się do całej masy ludności, średnia długość życia wypada na Berlin 22½ lat, na Londyn 29, na Paryż 33, na Genewę 43 lat.

Ileż to nie narozprawiano już o oświacie niemieckiej, gdzież już nie wygłaszano na wszystkie tony, że to bakałarze wygrali bitwy pod Sadową i Sedanem! A jednak wtajemniczony w obyczaje i życie domowe niemieckich chłopów, przekona się, iż pomimo że wszyscy niemal umieją czytać i pisać, są w gruncie zacofani i zabobonni. Łatwowierność z jaką dają się wyzyskiwać mniemanym czarnoksiężnikom, przechodzi pojęcie. Są wsie w których taki czarnoksiężnik praktykuje jawnie jakby doktór, i brak mu tylko dyplomu urzędowego. W tych czasach wytoczono wiele procesów, wyświecających do dna głupotę i zabobonność oskarżycieli i oskarżonych; jedni zostali ukarani, drudzy wyśmiani, cóż ztąd? i ci i ci odeszli z przekonaniem że ich ktoś urzekł.

Niekiedy głupota przechodzi w tragedye, jak to niedawno miało miejsce w Austryi. Jeden z należących do tak zwanej sekty Nazareńczyków, zarznął synka swego, mającego półtora roku, naśladując ofiarę Abrahama. Utrzymywał że Duch Ś-ty ukazał mu się we śnie i rozkazał mu okupić tym sposobem grzechy Nazareńczyków. Kazał żonie aby poszła sprosić sąsiadów dla wspólnego odmówienia psalmów oraz żeby byli świadkami ofiary; ta nie domyślając się niczego, przyprowadziła matkę i siostrę sekciarza. Zaczęli śpiewać psalmy, poczem szaleniec oznajmił że własne dziecko odda na ofiarę i położywszy je na stole, zanim nieszczęśliwa matka i dwie obecne kobiety mogły pojąć co chce uczynić — siekierą odciął dziecku głowę. Takich faktów i więcej możnaby przywieść, co łącznie z nieustannie wzrastającą liczbą samobójstw, nie przemawia bynajmniej na korzyść oświaty i moralności „kulturträgerów.“

W Prusach poruszono kwestyę nowego prawa o nauczaniu publicznem; głównie roztrząsaną ma być sprawa szkółek elementarnych, czyli, jak tu nazywają „ludowych.“ Wielu głębszych myślicieli dowodzi, że obok nauczania przymusowego nie może istnieć opłata szkolna, gdyż przymusowość koniecznie domaga się bezpłatności. Według systemu obecnie istniejącego w Prusach, opłata szkolna jest po prostu podatkiem osobistym, jest pogłównem, a tym sposobem najbiedniejsze gminy największe ponoszą ciężary.

Ogólne zebranie nauczycieli z okręgu Wiesbaden, oprócz powyższej kwestyi, roztrząsało jeszcze projekt aby rząd zajął się kwestyą społeczną. „Jest to, uradzili, kwestya nader ważna dla szkół, dla Państwa i dla całego w ogóle świata. Potrzeby materyalne, umysłowe i moralne, stanowisko najliczniejszych i najbiedniejszych ludności, wpływa bardzo na sposób ich zapatrywania się na organizacyę społeczeństw; tak więc rząd powinien zająć się przeważnie oświatą ludu a tem samem ponosić jej koszta.“ Ci nauczyciele wyznaczyli komitet mający obmyśleć praktyczne rozwiązanie tego ważnego zadania. Zdaje się iż środkiem najprędzej prowadzącym do tego celu, byłoby zaszczepianie w umyśle ludu sprawiedliwości i zdrowego sądu o rzeczach, początkowych wiadomości naukowych, porządku, oszczędności, poczucia braterstwa i solidarności, a przedewszystkiem głębokiej wiary i moralności, tym sposobem wszelkie kwestye społeczne uprościłyby się bardzo i umożebniło ich rozwiązanie. To pewna że fałszywe pojęcia, przesądy i uprzedzenia tak dziś zakorzenione w masach, są główną zaporą do polepszenia ich losu, zarówno jak brak porządku, oszczędności i wstrzemięźliwości rozpowszechniony wśród rodzin rzemieślniczych.

W Wrocławiu odbył się kongres dziennikarzy; pięćdziesiąt dwa dzienniki z różnych części Niemiec, przedstawiało na nim 80 przybyłych pisarzy. Byli także i przedstawiciele prasy zagranicznej. Z rozbieranych na kongresie najważniejszą była kwestya zbyt surowych kar, jakie sądy wymierzają na prasę polityczną i dzikie obchodzenie się z zaaresztowanymi dziennikarzami. W rzeczywistości traktują ich tam na równi ze złodziejami i mordercami, trzymając się co do litery surowych praw więziennych. Zmuszeni są pracować jak zwykli złoczyńcy; nie wolno im kazać sobie przynosić żywności z domu albo z miasta ani przyjmować odwiedzin, wyjąwszy w nader rzadkich i wyjątkowych razach. Postanowiono domagać się za pomocą prasy zniesienia tak barbarzyńskiego prawa na przepisy odpowiednie tegoczesnym pojęciom i okolicznościom. Rozprawiano także długo nad projektem kas wsparcia na starość dla pisarzy i dziennikarzy, i wyznaczono komitet dla wypracowania statutu. Ogólne sprawozdanie o położeniu dziennikarstwa w ciągu upłynionego roku, nie zbyt pochlebnie wypadło dla rządu pruskiego, udowodniono że liczba spraw o obrazę majestatu zwiększa się rok rocznie.

Doktór Schembera z Wiednia, przedstawił dość posępne sprawozdanie o stanie prasy w Austryi,

gdzie istnieją jeszcze dość surowe przepisy, szczęściem tylko że poniekąd trzymane na wodzy przez sądy przysięgłych. Kongres odbywał posiedzenia przez dwanaście dni.

Korzystając z pięknych jeszcze dni, lud berliński co niedziela ciśnie się do ogrodu zoologicznego w każdą niedzielę, gdyż w te dni, cena wejścia kosztująca zwykle 1 markę, jest znacznie zniżona. Kto chce poznać obyczaje ludności stolicy cesarstwa niemieckiego, niech idzie w niedzielę do ogrodu zoologicznego, a zastanie tam 50 do 60 tysięcy spacerujących. W ciągu tygodnia spotyka się same znakomitości finansowe, oficerów, dygnitarzy, wielkie panie, panny i damy pół-światka, przybywające tu nie dla zobaczenia ale dla pokazania się i roztaczające wielkie ogony i pióra, daleko nieraz osobliwsze niż u klatkowych gości ogrodu. Przed bramą ogrodu stoją rzędami pyszne powozy, wygalonowana służba i fiakry pierwszej klasy. W niedzielę następuje zupełna zmiana dekoracyi. Wszystkie drogi prowadzące do ogrodu zapchane są najprzeróżniejszemi wehikułami; pełno tu dorożek, bryczek, wozów do przeprowadzania, wozów należących do rzeźników, mleczarek i t. p. a w nich mieszczą się całe rodziny przeróżnych procederzystów. Dalej ileż to kółek rodzinnych ciągnie piechotą! Przodem idzie zazwyczaj ojciec niosący na ręku jedno lub dwoje dzieci; za nim matka z niemowlęciem przy piersi, a dalej reszta rodziny, niosąc z kolei kosz z prowiantami. Nieco dalej idzie grenadyer z gwardyi ze swoją „Augustą" (tak nazywają w Berlinie dobre przyjaciółki) świątecznie ustrojoną. Omnibusy i konne tramwaye wysadzają co minuta przed bramą ogrodu całe setki gości. Wielkie wozy dowożą młodzież pod nadzorem nauczyciela, mającego wyłożyć im na miejscu lekcyą historyi naturalnej. Wewnątrz liczne restauracye czekają na gości; w niedzielę nie ma w nich kosztownych i wykwintnych potraw, jakiemi bogacze raczą się w ciągu tygodnia, ale za to w każdej dostanie narodowej kiełbasy, białej wódki a przede wszystkiem piwa, którego co niedziela wychodzi tu 210 beczek, a nieraz i więcej. W tym tłumie liczyć można ze 20,000 dzieci; gdy przyjdzie porą obiadu na murawie tworzą się różne grupy, i niezadługo zielony ten obrus zostaje pokryty skorupami od twardych jaj, skórkami z kiełbas i kiszek, okruszynami chleba i zatłuszczonemi kawałkami gazet wszelkich odcieni... politycznych.

*(d. n.)*

## Ogłoszenie
### z pracowni kobiet Włocławskiej.

W wieloletnich marzeniach moich, nad rozszerzeniem działalności kobiet w kierunku, rzemiosł pragnęłam zawsze dotknąć się bliżej tej kwestyi i osobiście przekonać, czy rzemieślnicza szkoła dla kobiet jest możliwa i użyteczna. Dla tego ustąpiwszy zakład naukowy, dawnej nauczycielce pannie Oborskiej, otworzyłam szkołę rękodzielniczą dla kobiet w mieście Włocławku i przez sześcioletnią praktykę, walcząc z rozmaitemi trudnościami, wkorzenionego przesądu, i zawad jakie osoby niefachowe na każdym napotykają kroku, przekonałam się, że szkoły rękodzielnicze dla kobiet nietylko są potrzebne ale konieczne; bo ułatwiają środki zużytkowania każdej zdolności w kierunku uczciwego zarobku, i najzupełniej odpowiadają potrzebie wieku. Idzie tylko o ułatwienie i rozpowszechnienie nauki i o środki do jej rozwinięcia. Od Was to szlachetne panie, którem Bóg hojniej udzielił swych darów, zależy poparcie podobnych zakładów, obmyślenie środków dla niezamożnych uczennic i czynna opieka nad zakładami. Lepiej podać rękę w kierunku pracy, jak wspierać nędzę, która tak licznie otacza domy wasze. Jałmużny jakkolwiek hojne, nie są nigdy w stanie zaradzić wzrastającej z każdym dniem nędzy. Postarajcie się aby każde większe miasto miało taką szkołę, a w krótkim czasie przekonacie się, jak stopniowo nędza znikać, a dobrobyt rozwijać się zacznie, z pociechą szlachetnych serc waszych, i błogosławieństwem Bożem na własnych dzieciach, które naśladując cnoty matek, dokończą chlubnie rozpoczętego przez was dzieła, nadsyłaniem zakładom zdolnych uczennic, i wspieraniem je obstalunkami. Ja zaś jako złamana wiekiem i pracą, ustępuję młodszem i zdolniejszem z tej drogi. Upoważnia mnie do tego dwudziestosiedmioletnia praca w kierunku naukowym, a sześcioletnia w fachowym, czyli trzydzieści trzy lata mozolnych zajęć wymagających odpoczynku i poratowania zdrowia. Pragnąc zatem praw moich ustąpić osobie pojmującej całą ważność rękodzielniczych zakładów dla kobiet, podaję o tem do publicznej wiadomości. Nim to nastąpi, zawiadamiam, że znoszę opłatę wpisową wynoszącą od pensyonarek rs. dwadzieścia pięć, i odtąd za życie, mieszkanie i wszechstronną naukę tak umysłową jak fachową, płacić będą miesięcznie tylko rs. ośmnaście.

Przychodnie zaś w połowie dawniejszej ceny, od strojów, kwiatów i rzemiosł, a za naukę kroju sukien rs. ośm, z prawem uczęszczania dopokąd nie ukończą kursów. Od Nowego roku rozpoczynają się także nowe kursa buchalteryi, koronek i kroju.

Przełożona szkoły rękodzielniczej

*Agnieszka z Wilczewskich Bufle.*

## Od Redakcyi.

Tygodnik Mód i Powieści jak i Przyjaciel Dzieci, w przyszłym roku 1878, wychodzić będą pod temi samemi co dotąd warunkami. Upraszamy o wczesne nadsyłanie należytości prenumeracyjnej *wprost do Redakcyi*, gdyż tylko tym jedynie sposobem dalsze przesyłanie pism bez zwłoki następować może.

*Prenumerata wynosi:*

NA TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

w Warszawie **Kwartalnie rs. 1 kop. 80.**

Na Prowincyi i w Cesarstwie z ekspedycyą i przesyłką pocztową:

**Kwartalnie . . . rs. 2 kop. 50**
**Półrocznie . . . rs. 5**
**Rocznie . . . . rs. 10**

NA PRZYJACIELA DZIECI

w Warszawie **Kwartalnie — k. 75.**

Na Prowincyi i w Cesarstwie z ekspedycyą i przesyłką pocztową:

**Kwartalnie . . . . . rs. 1.**
**Półrocznie . . . . . rs. 2.**
**Rocznie . . . . . . . rs. 4.**

Nizką tę cenę pomimo zwiększenia kosztów wydawnictwa, utrzymujemy bez zmiany, aby prenumeratę pisma uznanego już w swej użyteczności, zrobić przystępną dla każdej rodziny.

*Adres* do **J. K. Gregorowicza, Redaktora Tygodnika Mód i Powieści i Przyjaciela Dzieci, w Warszawie ulica Elektoralna Nr. 779 (41 nowy).**

## Opis ryciny kolorowej.

**Fig. 1. Ubranie wizytowe.** Suknia princesse z granatowej faille ma dodane dwie części pleców, wykłady na rękawach, kołnierz wykładany i draperyę z aksamitu tego samego koloru. Przybranie stanowi bogata jedwabna frendzla i drobniutkie plisowanie.

**Fig. 2. Ubranie balowe.** Dekoltowana z tyłu sznurowana suknia princesse z blado-żółtego tarlatanu. Garnirunek składa się z szerokich poprzecznych fałd i plisowanych falbanek; zręczna draperya nakształt szarf przerzucona na tylnym brycie, składa się z zupełnie prostych brytów. Na sukni i we włosach lekkie gałązki kwiatów.



Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami i rycina kolorowa.

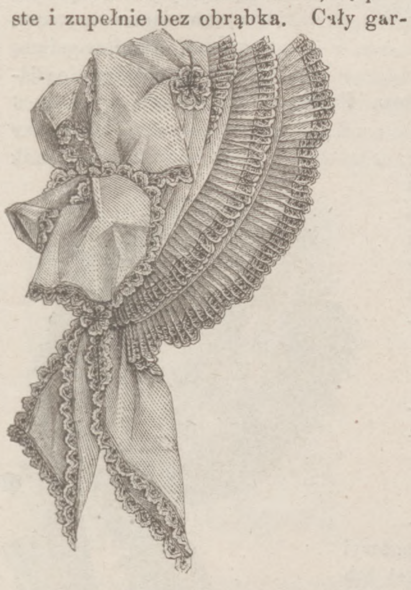
ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ. Варшава, 1 (13) Декабря 1877 г. Redaktor **J. K. Gregorowicz.** Wydawca **E. Skiwski.** Druk E. Skiwskiego, Elektoralna N. 758 (28).

## Opis do N. 49.

(Dokończenie).

N. 28. **Suknia** balowa z bluzkowym stanikiem.

Pod lekką, różową tarlatanową spódnicę dana tiulowa podszewka. Plisowanie 6 cent. szerokie i 8 cent. szeroka w rurki układana falbanka, są proste i zupełnie bez obrąbka. Cały garnirunek ma z przodu 46, z tyłu 60 cent. szerokości; z przodu na spódnicy dane upięcie z prostych brytów przybranych riuszą i kwiatami. Na tren spadają dwa tylne bryty, pod paskiem przyszyte, riuszą garnirowane, skrzyżowane nakształt szarf i kwiatami spięte. Wykrój bluzki i krótkie bufowane rękawki, oszyte plisowaniem z jedwabnego tiulu, przewleczonem wązką czarną aksamitką.


N. 1. Negliżyk muślinowy z plisowaniem.


N. 3. Ubranie z filcu.

N. 4. Ubranie spacerowe dla małej dziewczynki.


N. 2. Negliżyk z wstawką koronkową.

N. 29. **Strojny**, aksamitny paletot. Krój podług ryc. 5—7 w N. 46.

Paletot wcinany, mający 80 cent. długości z przodu a 85 z tyłu, odrobiony był z lijońskiego, czarnego aksamitu, na jedwabnej lekko watowanej, w kwadraty pikowanej podszewce. Bogate przystrojenie stanowiły 11 cent. szerokie koronki, suta frendzla i perełkami naszyta pasmanterya. Przody ozdobione oddzielnym podwatowanym pasem aksamitu, mającym 17 cent. szerokości a 92 długości, oszytym czarną koronką i pasmanteryą, któren przyszyty jest w ten sposób do zwierzchniego przodu, iż w połowie na część drugą zachodzi i zeszyty jest w pukiel tworzący małą mufkę, oszytą jeszcze zarówno jak i rękawy, szeroką białą koronką. Przez środek pleców przechodzi także garnirunek z pasmanteryi i koronki. Widoczna na ryc. 29, kieszeń ma 27 cent. w kwadrat, a skośnie ścięta klapka, 13 cent. wysokości. Wykładany kołnierz mający 45 cent. długości a 15 szerokości, kraje się zupełnie prosto, tylko końce ścięte trochę skośnie.


N. 6. Część szlaku do kołnierzyka ryc. 7.


N. 7. Kołnierzyk wykładany koronkowy. Patrz ryc. 8.

N. 30. **Próbka** ściegu szydełkowego do chustek lub szalików z cienkiej włóczki.

N. 31. **Próbka** roboty na drutach na tło do chustek, szalików i t. p.

Z cieniutkiej podwójnej włóczki zaczyna się robotę na

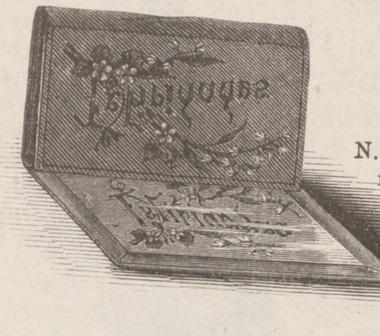

N. 5. Szalik z haftem w guście chińskim.


N. 8. Kołnierzyk koronkowy i krawatka z wstążki.

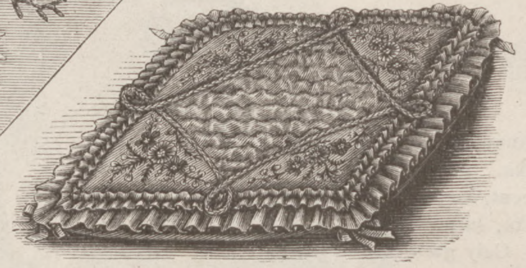
parzystą liczbę ocz. bardzo luźno na drutach grubych stalowych. W pierwszym rzędzie robi się ciągle na przemian jedne oko gładko, 1-no przybrać; w następnych rzędach pierwsze przybrać, następne wraz z przybranem w poprzedzającem obrobieniu zrobić gładko.



N.10. Narożnik do ryciny 11.



N. 9. Książeczka do notatek lub biletów. Deseń napisu na arkuszu z krojami do Nr. 44 i 45.

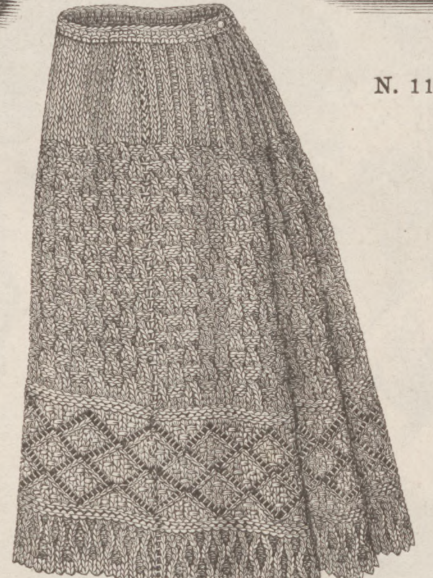


N. 11. Teka na chusteczki do nosa. Patrz ryc. 10.

## Opis do N. 50.

**N. 1. Czepeczek** muślinowy z plisowaniem.

Podstawę czepeczka stanowi denko ze sztywnego tiulu 24 cent. długie, 21 szerokie i liczące 45 cent. dolnego obwodu, po założeniu fałdek w równych odstępach. Brzegiem denka dane dwa rzędy plisowania 3 cent. szerokiego, oszytego tiulikiem, przyszycie falbanek zasłania skos muślinowy złożony we dwoje. Trzeci rząd plisowania idący powyżej na wierzchu główki dany tylko z przodu, przytrzymany jest w górze skosem złożonym w poprzeczne fałdy, przeszyte w odstępach rozetkami z koronki. Środek główki zajmuje kokarda złożona z dwóch skośnych kawałków muślinu po 46 cent. długich a 11 szerokich, upiętych podług ryc. 1 i oszytych także jak przy falbankach koroneczką.



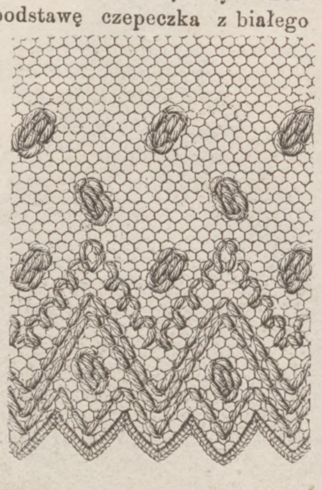
N. 14. Spódniczka wełniana robiona na drutach. Patrz ryc. 15.



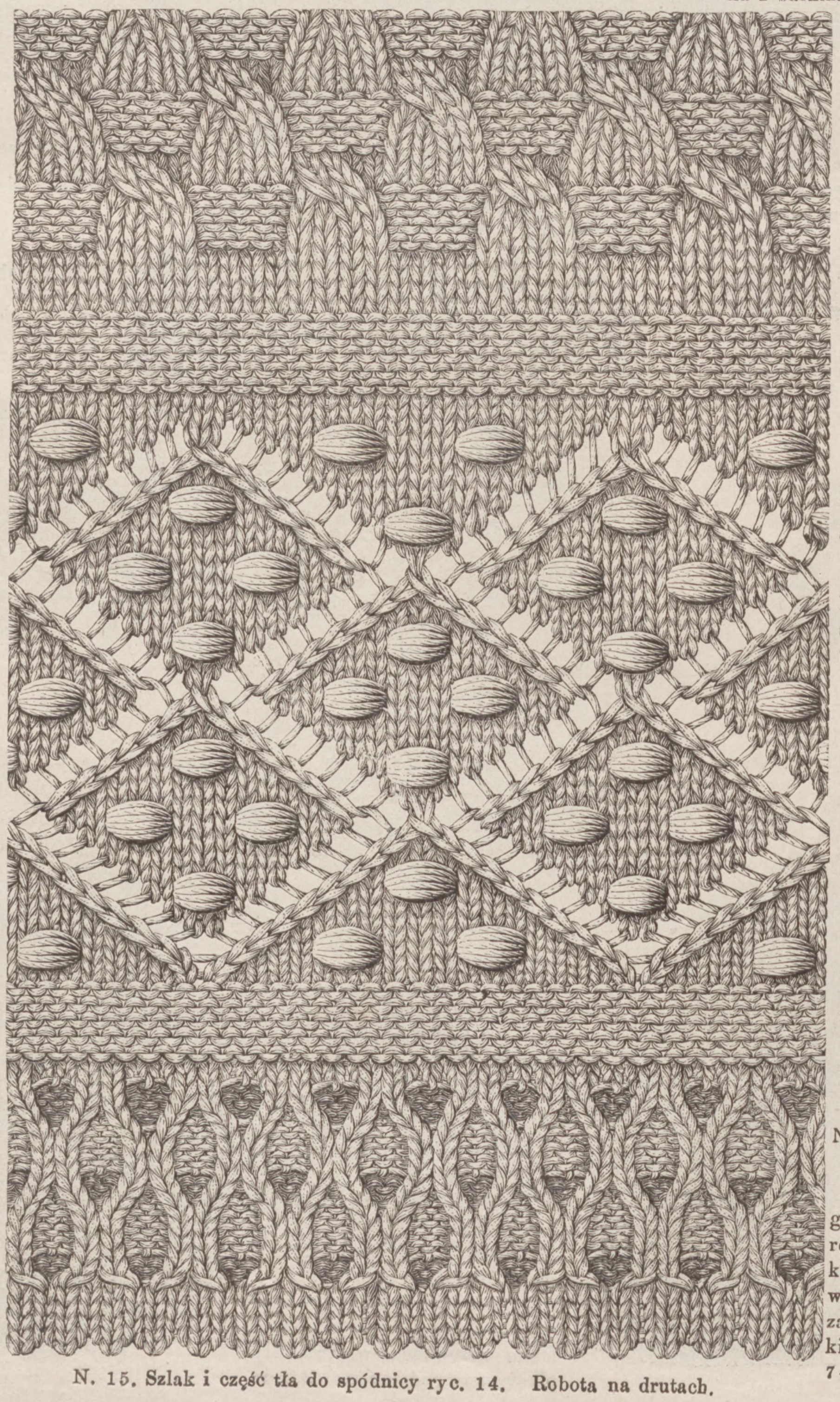
N. 12. Kapelusz aksamitny z końcami ze wstążki.

**N. 2. Czepeczek** muślinowy z koronką i wstążką.

Pasek sztywnego tiulu $2\frac{1}{2}$ cent. szeroki, 54 długi oszyty drucikiem i złączony w kółko, stanowi podstawę czepeczka z białego muślinu, zdobnego nicianemi koronkami. Denko stanowiące jedną całość ze s puszczo - nym karczkiem 12 cent. długim, ułożone jest ze skośnego muślinowego owalu 42 cent. szerokiego a 53 długiego w który w odstępach 8 cent. wszywana wstawka koronkowa 3 cent. szeroka. Z przodu i na 12 cent. od tylnego brzegu denko złożone jest w kontrafałdy, z boków zaś w 6 lub 8 małych fałdek, poczem przyszywa się do paska stanowiącego podstawę, na którym od twarzy przyszyte plisowanie 3 cent. szerokie zakończone koronką. Kokardy z blado-niebieskiej wstążki 6 cent. szerokiej zdobią wierzch główki, takaż wstążka naszyta koronką podług ryc. 2 dana jest nad plisowaniem.



N. 16. Koronka wywodzona na tiulu.



N. 15. Szlak i część tła do spódnicy ryc. 14. Robota na drutach.

**N. 3. Ubranie** z filcu.

Odpowiednie na ranną przechadzkę lub domowe ubranie bardzo dogodne i praktyczne składa się ze spódnicy sięgającej do ziemi i kaftanika z miękkiego, popielatego filcu, jak to rycina 3 przedstawia. Spódnica licząca 216 cent. dolnego obwodu zakończona przytym na powietrznym wolantem 24 cent. szerokim, zamiast galonu lub taśmy naszyte są jaśniejsze pliski popielate 6 cent. szerokie, kilka razy przestębnowane. Kaftanik z przodu 85, z tyłu 93 cent. długi a 184 u dołu szeroki dopasować można podług której z form załączonych na arkuszach.

**N. 4. Ubranie** spacerowe dla małej dziewczynki.

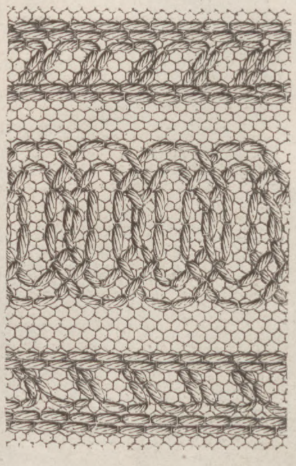
Sukieneczka formą princesse z materyi wełnianej, jedwabnej lub aksamitu ma przody i boki ukrajane na długość stanika z baskiną i dopełnione draperyą ze skośnego kawałka materyału, złączoną z tyłu pod węzłem z materyi, przeprowadzonej nakształt szarfy po nad draperyą. Dół sukienki zdobi plisowanie i oszycie z koronki lub muślinowej falbanki.



N. 13. Kapelusz aksamitny z koronkowemi końcami.

**N. 5. Szalik** z haftem w guście chińskim.

Haft ten tem się różni od innych rodzai haftu iż jest jednakowy na obie strony; model szalika załączonego na rycinie 5 był haftowany cienkim białym jedwabiem na tle z białej materyi; brzegi zakończone frendzlą jedwabną 16 cent. szeroką. Długość szalika wynosi 62, szerokość 26 cent.



N. 17. Wszywka wywodzona na tiulu.

**N. 6—8. Kołnierzyk** koronkowy.

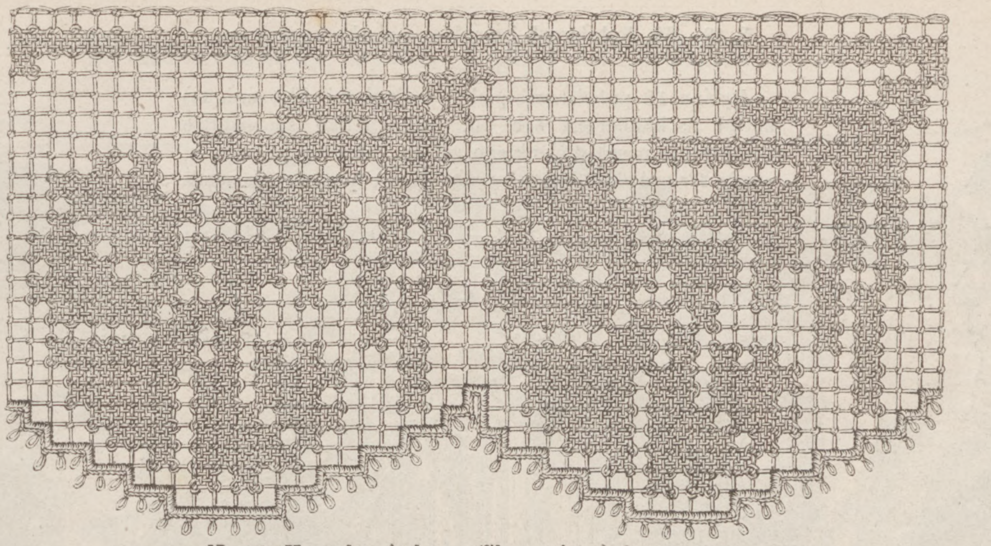
Szerokie, wykładane kołnierze ciągle modne są do wizytowego ubrania; ryc. 7 załącza model odrobiony ręcznie z tasiemeczki koronkowej. Część zakończenia brzeżnego podana jest w naturalnej wielkości na ryc. 6; jeden taki ząb służy do zakończenia wstążki związanej pod kołnierzykiem. Całość deseniu przedstawia się na ryc. 7—8. Na kołnierzyk potrzeba prostego ka-

wałka koronki 55 cent. długiego a 16 szerokiego, który założony jest w środku w kontrafałdę, przez co skraca się do 39 cent. i wszywa w paseczek muślinowy. Za krawatkę służy kolorowa wstążka 6 cent. szeroka, 150 długa zakończona koronką. Podłużny wykrój szyi otacza plisowanie z crêpe-lisse.

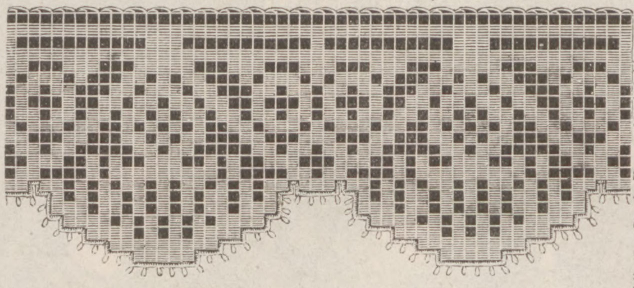
**N. 9. Książeczka** do biletów wizytowych lub notatek.

Deseń napisu do czytania przy pomocy lusterka podaliśmy na arkuszu z krojami do N. 44—45 Tygodn. Mód.

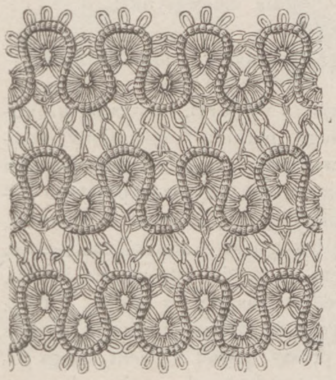
Książeczka taka odpowiednia na podarunek przyozdobiona jest zagadkowym napisem, który czyta się w lusterku oprawionem w drugiej połowie książeczki. Odpowiednio do celu na jaki ma służyć, dobiera się napis który w każdym języku może być zamieszczony np. *„J'y pense“ I love you“ „A revederci“ Gedenke mein“* lub odpowiednie zdanie po polsku. Model który opisujemy ozdobiony był hiszpańskim napisem *„Felicidados“* (bądź szczęśliwy) wymalowany na kolorowym safjanie.



N. 18. Koronka siatkowa (filet antique) do ryc. 20.



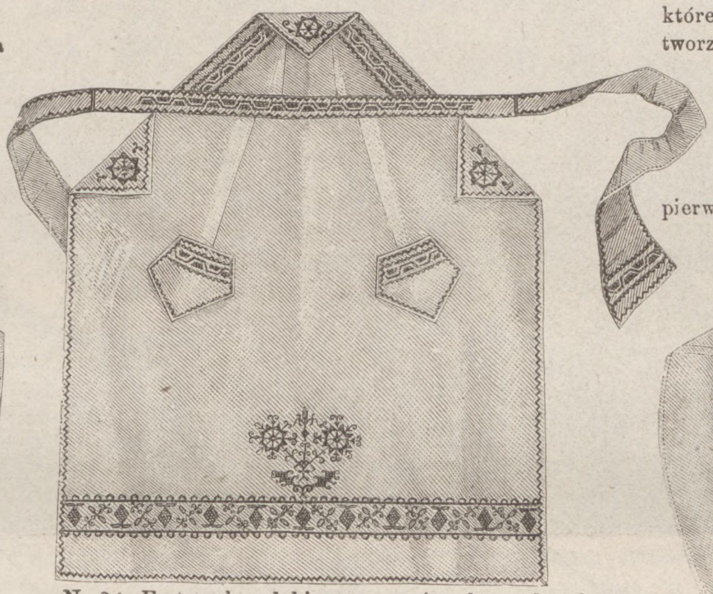
N. 19. Deseń do wyszycia na siatce (filet antique).



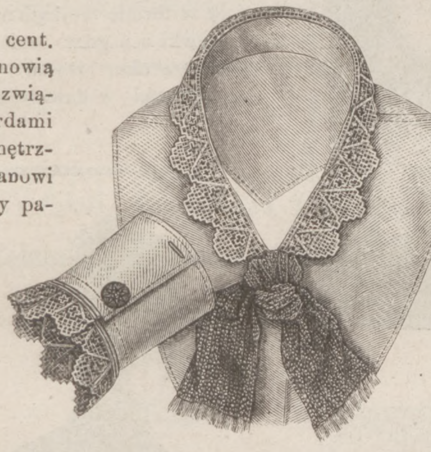
N. 22. Deseń koronki z mignardise spajanej igłą do ryc. 21.

**N. 10—11. Teka** na chusteczki do nosa.

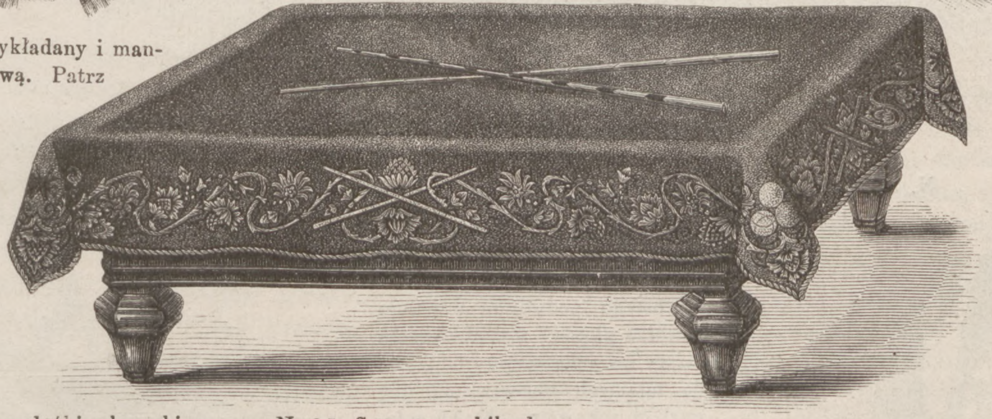
Dwa kawałki tektury mające po 21 cent. w kwadrat stanowią podstawę teki związywanej kokardami z wstążki; wewnętrzne pokrycie stanowi atlas podłożony pachnącą watą, z wierzchu dany atlas żółty który na jednej połowie dany jest gładko a druga ozdobiona jest haftem podług ryc. 10, riuszą z atłasowej wstążki i sznurem jedwabnym. Środek wierzchu zajmuje poduszeczka pikowana wypukło, mająca 10 cent. w kwadrat.



N. 24. Fartuszek ozdobiony wyszyciem krzyżykami.



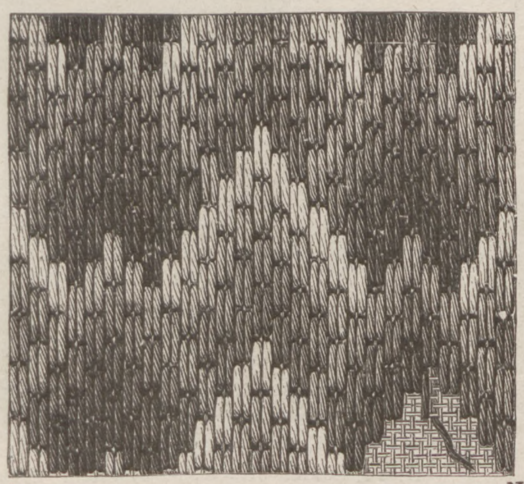
N. 20. Kołnierzyk wykładany i mankiet z koronką siatkową. Patrz ryc. 18.



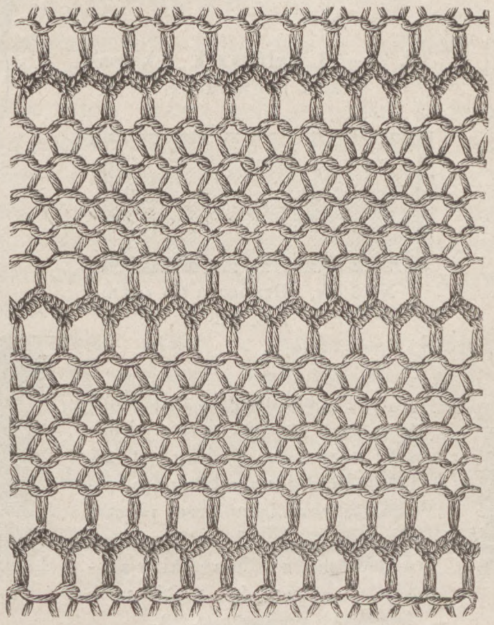
N. 25. Serweta na bilard.

**N. 12—13. Kapelusze** dla pań starszych.

**N. 12. Kapelusz** z końcami ze wstążki. Fason z płaskiem rondem i maleńkim karczkiem z tyłu, pokryty aksamitem miał na około główki otoczoną wstążkę repsową, 8 cent. szeroką która z boków przedłużała się w długie końce, służące do wiązania kapelusza. Z pod tej wstążki wysuwały się na rondko pukielki z wstążki 2 cent. szerokiej, takież pukle 10, 8 i 6 cent. długie przysłaniały karczek i przytrzymane były przepięciem aksamitnem, odstającem od główki 4 cent. wysokiem. Suta kokarda z klamrą lawową i dwa strusie pióra dopełniały przybrania.



N. 26. Desen na ścieg gobelinowy.



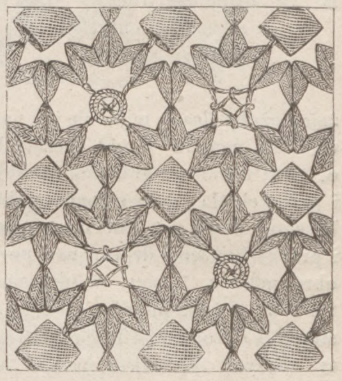
N. 28. Tło w pasy z torsadki na widełkach i roboty na drutach, na chustki szaliki i t. p.

**N. 13. Kapelusz** z koronkowemi końcami.

Ma główkę fałdowaną a rondko płaskie gładko pokryte aksamitem; na około główki dana girlanda z bratków i liście tilleul, złączona z tyłu kokardą z wstążki tilleul 6 cent. szerokiej, przepiętą klamrą. Podgarnirowanie koloru wstążki; końce z czarnego deseniowego tiulu, po 96 cent. długie a 17 szerokie, oszyte koronką 7 cent. szeroką.

**N. 14—15. Spódnica** wełniana. Robota na drutach i szydełkowa.

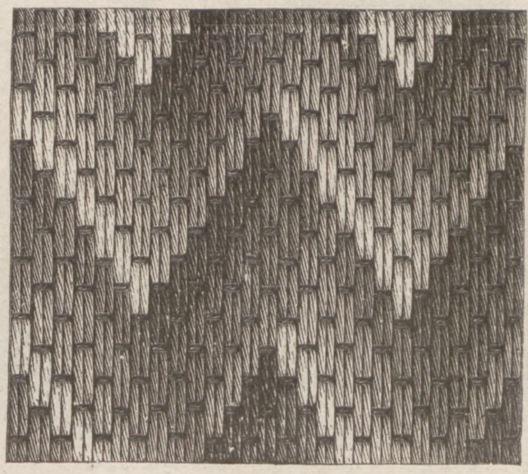
Spódniczka składa się z trzech brytów z których dwa tylne są proste a przedni gubiony stopniowo w górę; robotę zaczyna się od dołu, a skończone bryty zszywają z sobą od spodu; pasek robiony jest szydełkiem. Rycina 15 załącza w naturalnej wielkości próbkę ściegu na tło brytów i szlak dolny. Obrąbek robi się naprzemian gładko i kręto, a w środku daje się rząd dziurek które po złożeniu tworzą ząbeczki; po zczepieniu obrąbka od spodu zaczyna się szlak, na któren w pierwszem obrobieniu: * 1 o. zgu. gł. od środka, drugie zgubić zwyczajnie biorąc oczy od spodu, 1 przybrać; powtarzać od *. W rzędzie drugim * 1-no gł. 1-no krę., w przybrane dwa o. krę. *. Rząd 3-ci na przemian 2 gł. 2 krę. Rząd 4-ty 2 krę. 2 gł., rząd 5-ty jak 3-ci, 6-ty jak 4-ty. Powtórzyć wszystkie 6 rzędów w ten sposób żeby mijały się z poprzedzającemi, nakoniec powtórzyć trzy początkowe obrobienia, zrobić szlaczek kręty, po którym następują kwadraty; te ostatnie łatwo można podług wyraźnej próbki przerobić, pamiętając ażeby przy gubieniu brać zawsze o. od środka. Muszki wyszywa się następnie igłą. Po wykończeniu szlaku zaczyna się tło czterema obrobieniami naprzemian gładkiemi i krętemi, za niemi 4-ry tam i napowrót obrobienia w których mamy naprzemian 4 o. kręte i 4-ry o. gł. W piątem obrobieniu nad o. gładkiemi zdejmuje się dwa pierwsze o., (zważając żeby się nie pruły) robi się pierw dwa o. następne, potem nabiera się na drut w lewej ręce 2 o. zdjęte i przerabia jak poprzednio, a tym sposobem oczy te się krzyżują i stanowią wskazany na próbce deseń. Cztery o. nad krętemi robi się gładko; rząd 6-ty (do prawej ręki) cały kręto. Powtarzać ciągle te sześć rzędów, uwa-



N. 23. Tasiemeczka w ząbki spajana płóciennemi kwadracikami i pająckami. Do ryc. 21.



N. 21. Kołnierzyk z mignardisse spajanej igłą. Patrz ryc. 22—23.



N. 27. Deseń na ścieg gobelinowy.



N. 29. Kapelusz filcowy dla młodej panienki.

żając ażeby deseń miał się jak na próbce. Na modelu przód zaczęty był na o. 156; robić bez gubienia obrąb, szlak i początek tła, a na-stępnie gubi się z brzegów 3-cie z 4-tem o. na początku i przed końcem druta, raz po 7-miu obrobieniach, 2 razy w odstępie 6-ciu 20 razy w odstępie 5, 10 razy w odstępie 2 obrobień. Tylne równe bryty zaczyna się także na o. 156, a w górze zakończa podług ryc. 14, 31 obrobieniami w których idą ciągle paski z dwóch o. kręc. i dwóch gł. Bryt przedni zakończa 31 rzędów wyglądających gładko.

**N. 16—17. Koronka** i wszywka wywodzona na tiulu.

**N. 18—20. Kołnierzyk** i mankiet z siatką koronkową.

Rycina 18 przedstawia piękny wzór siatki (filet antique) użytej na kołnierzyk ryc. 20, która lekko się naddaje i wszywa w pasek z cienkiego płótna, złożony podwójnie, z tyłu 3 z przodu 2 cent. szeroki przystębnowany do szmizetki. Koronka może być ręczna niciana, wywodzona na tiulu, irlandzka lub t. p. 4—6 cent. szeroka. Mankiet

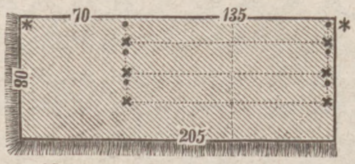


N. 31. Okrycie zdobne frendzlą i riuszą z piór.

N. 32. Szalik gazowy do zarzucenia przy wejściu na bal, do teatru lub t. p.

z prostego podwójnie wziętego kawałka płótna, 8 cent. szeroki oszyty koronką odpowiedni jest do modnych obecnie zupełnie wązkich rękawów. N. 19 załącza deseń do wyszycia na siatce.

**N. 21—23. Kołnierzyk** z koronką z mignardisse.




N. 33-a. Draperya do sukni ryc. 33

Formę kołnierzyka trzeba dopasować z papieru i na niej naszyć mignardisę podług ryc. 22 lub w inny deseń i łączyć ją nitką przeprowadzoną przez pikoty. Zamiast takiej koronki można dodać szlak z tasiemeczki w ząbki i kwadracików płóciennych łączonych podług ryc. 23.



N. 30. Kapelusz z główką pluszową dla dziewczynki.

**N. 24. Fartuszek** z napierśnikiem.

Uszyty z wiktoryi, batystu lub angielskiego perkalu i ozdobiony szlakiem wyszytym ściegiem jednakowym na dwie strony, wymaga prostego kawałka materyału 73 cent. w kwadrat. Górny brzeg jest w środku na 3—4 c. podcięty i z każdej strony na 8 cent. od środka zaszyty w fałdkę 3 cent. głęboką a 26 długą, poczem wszywa się w prosty pasek 38 cent. długi zostawiając w końcach rogi wolne (11 cent. długie) które zdobią się wyszyciem i odwijają jak na modelu. Napierśnik w formie trójkąta ma zaszyte dwie zaszewki a u góry wyłożony jest na 9 cent. szeroko. Deseń wyszycia znajdą czytelniczki w dawniejszych Nr. Tyg.

*(dok. nast.)*



N. 33. Suknia princesse z draperyą. Patrz ryc. 33-a.



N. 34. Suknia princesse z upięciem nakształt szarf.